

Georges Simenon

"Maigret i tajemniczy konfident"

Spółdzielnia Wydawnicza "Czytelnik"

Warszawa 1993

Producent wersji brajlowskiej:

Altix Sp. z o.o.

ul. W. Surowieckiego 12a

02-785 Warszawa

tel. 644-94-78

## Rozdział 1

Kiedy zadzwonił telefon, Maigret mruknął niezadowolony, nie mając najmniejszego pojęcia, która może być godzina. Nie przyszło mu do głowy, żeby spojrzeć na budzik. Został wyrwany z głębokiego snu i odczuwał jeszcze ucisk w piersi. Boso, krokiem lunatyka podszedł do telefonu.

- Halo...

Nie zdawał sobie sprawy, że to nie on, lecz jego żona zapaliła jedną z lampek nocnych.

- To pan, szefie?

Nie od razu rozpoznał głos.

- Tu Lucas... Jestem na nocnym dyżurze... Miałem przed chwilą telefon z XVIII dzielnicą...

- No i co?

- Na Avenue Junot znaleziono na chodniku ciało zamordowanego mężczyzny...

Czyli na samym Wzgórzu, niedaleko placu du Tertre.

- Dzwonię do pana z powodu tożsamości ofiary... To Maurice Marcia, właściciel "Sardine"...

Typowa paryska restauracja na ulicy Fontaine.

- Co on robił na avenue Junot?

- Wygląda na to, że go tu podrzuciono, kiedy już nie żył, a nie że został zabity na miejscu.

- Zaraz jadę...

- Chce pan, żebym przysłał samochód?

- Tak...

Pani Maigret patrzyła na niego cały czas, nie wstając z łóżka, ale teraz się podniosła i palcami nóg szukała pantofli.

- Zrobię ci kawy.

Wypadło to w niedobry wieczór, a raczej w za dobry wieczór. Państwo Maigret przyjmowali u siebie państwa Pardon. Istniała między nimi niepisana umowa, utrwalona z biegiem lat. Raz na miesiąc doktor Pardon i jego żona podejmowali kolację państwa Maigret w swoim mieszkaniu na bulwarze Voltaire. Dwa tygodnie później Pardonowie z kolei szli na kolację na bulwar Richard-Lenoir.

Panie korzystały z okazji, by pogadać o ciuchach, wymienić przepisy kulinarne, podczas gdy panowie rozmawiali sobie o tym i owym popijając alzacką nalewkę z tarniny czy z malin.

Tego wieczoru kolacja była wyjątkowo udana. Pani Maigret przyrządziła perliczki w cieście, a komisarz przyniósł z piwnicy jedną z ostatnich butelek starego Chteaneuf-du-Pape. Kupił kiedyś okazjnie całą skrzynkę tego wina na ulicy Drouot.

Było wyśmienite i panowie nie zostawili ani kropli. A ile kieliszczków nalewki wypili potem? W każdym razie Maigret, obudzony znienacka o drugiej w nocy, czuł się niewyraźnie.

Maurice'a Marcie znał dobrze. Znał go cały Paryż. Maigret pamiętał go z czasów, kiedy sam pracował jako inspektor, bo kilka razy przesłuchiwał Marcie - który nie był jeszcze wtedy szacownym obywatelem - w swoim gabinecie.

Później Maigret chadzał wraz z żoną na ulicę Fontaine do "Sardine", gdzie

mieli pierwszorzędną kuchnię.

Kiedy pani Maigret przyniosła filiżankę kawy, Maigret był już prawie ubrany.

- To coś ważnego?

- Może narobić wiele hałasu.

- Ktoś znany?

- Pan Maurice, jak go wszyscy nazywają. Czyli Maurice Marcia.

- Z "Sardine"?

Skinął głową.

- Zamordowano go?

- Zdaje się... Lepiej, żebym tam poszedł rzucić okiem...

Drobnymi łykami wypił kawę, nabił fajkę. Potem poszedł do okna i uchylił je, żeby zobaczyć, jaka jest pogoda. Deszcz ciągle padał, tak drobny i tak powoli, że było go widać tylko przy samych latarniach.

- Bierzesz płaszcz od deszczu?

- Nie warto... Jest za gorąco.

Był dopiero maj, ten wspaniały miesiąc maj. Piękną pogodę popsuła burza, po której zostało coś w rodzaju mżawki: siąpiło tak już całą dobę.

- Na razie...

- Wiesz, twoje perliczki były przepyszne...

- Nie za ciężkie?...

Na to pytanie wolał nie odpowiadać, bo jeszcze mu ciążyły w żołądku.

Przed bramą czekał na niego mały czarny samochód.

- Avenue Junot...

- Który numer?

- Na pewno zobaczysz zbiegowisko...

Ulice lśniły jakby polakierowane na czarno. Prawie nie było ruchu. W kilka zaledwie minut dotarli na Montmartre, ale nie na Montmartre nocnych lokali i turystów. Avenue Junot leżała jakby na marginesie tej tętniącej życiem dzielnicy, stały przy niej głównie wille zbudowane przez zamożnych artystów, którzy debiutowali na Wzgórzu i pozostali mu wierni. Na prawym chodniku widać było grupę gapiów, w oknach mimo późnej godziny paliły się światła i wyglądali przez nie ludzie w piżamach i szlafrokach.

Na miejscu był już komisarz dzielnicowy: niski, chudy, nieśmiały człowieczek. Od razu podbiegł do Maigreta.

- Bardzo się cieszę, że pan przyszedł, panie komisarzu. Ta sprawa może wywołać sporo zamieszania...

- Jest pan pewny, że to on?

- Proszę, to jego portfel...

Podał mu portfel z czarnej krokodylowej skóry - był w nim tylko dowód osobisty, prawo jazdy i kartka z notesu, na której zapisano kilka numerów telefonu.

- Nie miał pieniędzy?

- Cały plik banknotów, trzy czy cztery tysiące franków, nie liczyłem. Leżały w bocznej kieszeni.

- A broń?

- Smith and Wesson, ale ostatnio nie używany...

Maigret podszedł do ciała; dziwnie się poczuł, kiedy patrzył tak z góry na pana Maurice'a, ubranego w smoking, jak co wieczór. Na gorsie koszuli rozlała się szeroko plama krwi.

- Żadnego śladu na chodniku?

- Nie.

- Kto znalazł ciało?

- Ja - odezwał się łagodny głos z tyłu.

Należał do staruszka z aureolą białych włosów. Maigret rozpoznawał w nim dość wziętego malarza, ale nie mógł sobie przypomnieć nazwiska.

- Mieszkam w willi naprzeciwko... W nocy czasem się budzę i nie mogę zasnąć...

Miał na sobie piżamę, na którą narzucił stary płaszcz. Na nogach czerwone pantofle.

- ... Wyglądam wtedy przez okno. Avenue Junot jest spokojna, opustoszała. Samochody prawie w ogóle nie jeżdżą. Zobaczyłem jakiś czarno-biały kształt, coś dziwnego, więc zszedłem zobaczyć... Zadzwoiłem na komisariat... Ci panowie przyjechali samochodem na sygnale i we wszystkich oknach zaroilo się od ciekawskich... Ze dwadzieścia osób patrzyło przez okna na zwłoki i na grupkę oficjeli, przechodniów i sąsiadów w nocnych strojach. Lekarz z dzielnicy mówił:

- Nie mam tu już nic więcej do roboty. Przysięgam, że nie żyje... Reszta to sprawa lekarza sądowego...

- Dzwoniłem do niego - oznajmił komisarz dzielnicowy. - Zawiadomiłem również prokuraturę.

Z samochodu wysiadał właśnie zastępca prokuratora w towarzystwie swojego kancelisty. Zdziwił się widząc tu Maigreta.

- Sądzi pan, że to ważna sprawa?
- Obawiam się... Zna pan Maurice'a Marcię?
- Nie.
- Nigdy pan nie był na kolacji w "Sardine"?
- Nie.

Musiał mu wyjaśnić, że spotykało się tam zarówno ludzi z towarzystwa i artystów, jak i śmietankę świata przestępczego.

Z taksówki, pomrukując pod nosem, wysiadł doktor Bourdet, lekarz sądowy, następca doktora Paula. Rozdawał machinalnie uściski dłoni i na widok Maigreta wykrzyknął:

- O, pan też tutaj!..

Podszedł do ciała, pochylił się, żeby obejrzeć ranę w świetle latarki elektrycznej, którą nosił w swojej walizeczce.

- Jedna kula, o ile się nie mylę, ale dużego kalibru i wystrzelona z bardzo małej odległości...

- O której godzinie nastąpiła śmierć?

- Jeżeli został tu przyniesiony od razu, zbrodnię popełniono chyba około północy... Powiedzmy, między dwunastą a pierwszą... Więcej będę mógł powiedzieć po sekcji...

Maigret podszedł do Vliarda, inspektora z XVIII dzielnicy, który stał skromnie z boku.

- Znał pan pana Maurice'a?
- Ze słyszenia i z widzenia.
- Mieszkał w tej dzielnicy?
- Zdaje się, że w dziewiątce... Chyba na ulicy Ballu...
- Nie miał gdzieś tutaj kochanki?

Bo przecież dziwne się wydawało, że ktoś mógłby przyjść z innej dzielnicy z nieboszczykiem na plecach, żeby go położyć na chodniku spokojnej avenue Junot.

- Chyba bym o tym słyszał... Powinien to wiedzieć inspektor Louis z dziewiątki, on zna okolice Pigalle jak własną kieszeń.

Maigret uściśnął im dłonie i już wsiadał do małego czarnego samochodu, gdy zjawił się dziennikarz, wysoki rudzielec z rozwichrzoną czupryną.

- Panie Maigret...

- Nie teraz... Proszę się zwrócić do inspektora lub do komisarza dzielnicowego...

I rzucił szoferowi:

- Ulica Ballu...

Trzymał ciągle w ręku dowód osobisty denata, zajrzał do niego i dodał:

- 21 bis...

Był to dość obszerny pałac, jakich wiele na tej ulicy, obecnie dom czynszowy. Widniała na nim między innymi, po prawej stronie drzwi wejściowych, miedziana tabliczka z nazwiskiem dentysty i wskazówką: "II piętro". Na trzecim był gabinet neurologa.

Dzwonek obudził dozorczynię.

- Do pana Maurice'a Marcii.

- Pana Maurice'a nie ma nigdy o tej porze. Nie wraca przed czwartą rano.

- A pani Marcia?

- Zdaje się, że wróciła. Wątpię, czy pana przyjmie. Ale niech pan spróbuje, jeśli panu zależy. Pierwsze piętro, drzwi po lewej. Zajmują całe piętro, ale drzwi z prawej są zabite.

Schody były szerokie, pokryte grubym chodnikiem. Ściany z żółtawego marmuru. Na drzwiach po lewej nie było żadnej tabliczki. Maigret nacisnął guzik. Panowała cisza. Zadzwoił więc jeszcze raz i w końcu usłyszał czyjeś kroki. Zaspany kobiecy głos spytał przez drzwi:

- Kto tam?

- Komisarz Maigret.

- Męża nie ma. Proszę iść do restauracji na ulicy Fontaine.

- Tam pani męża też nie ma.

- Był pan tam?

- Nie. Ale wiem, że go tam nie ma.

- Proszę chwilę poczekać, muszę włożyć szlafrok...

Kiedy otworzyła drzwi, miała na sobie białą jedwabną koszulę i złocistożółty szlafrok. Była młoda, dużo młodsza od męża, który liczył o wiele więcej lat niż Maigret, jakieś sześćdziesiąt czy sześćdziesiąt dwa. Patrzyła na niego obojętnie, lekko tylko zaciekawiona.

- Dlaczego szuka pan mojego męża o tej porze? Była wysoką blondynką, ze

szczupłym giętkim ciałem modelki lub girlaski. Mogła mieć najwyżej trzydzieści lat. -

Proszę wejść... Otworzyła drzwi do dużego salonu i zapaliła światło.

- Kiedy widziała pani męża po raz ostatni?
- Około ósmej, jak codziennie, kiedy wychodził na ulicę Fontaine.
- Pojechał samochodem?
- Ależ skąd! To przecież pięćset metrów...
- Nigdy nie jeździ tam samochodem?
- Tylko w czasie ulewy...
- Odprowadza go pani czasem?
- Nie.
- Dlaczego?
- Bo to nie moje miejsce. Co ja bym tam miała robić?
- Tak więc wszystkie wieczory spędza pani tutaj?

Wydawała się zdziwiona tymi pytaniami, ale nie brała mu ich za złe. Nie okazywała też większego zainteresowania.

- Prawie wszystkie. Zdarza mi się, tak jak każdemu, pójść do kina.
- A po drodze nie wstępuje pani do męża?
- Nie.
- Była pani w kinie dziś wieczór?
- Nie... Wyprowadzałam tylko psa. Ale padał deszcz, więc wróciłam po kilku

minutach....

- O której?
- Może o jedenastej. Może trochę później...
- Nie spotkała pani nikogo ze znajomych?
- Nie... Do czego prowadzą te pytania i dlaczego interesuje pana, jak

spędziłam ten wieczór?

- Pani mąż nie żyje...

Wytrzeszczyła jasnoniebieskie oczy o przejmującym spojrzeniu. Jednocześnie otworzyła usta, jakby miała krzyknąć, ale gardło jej się ścisnęło i położyła rękę na piersi. Wyjęła chusteczkę z kieszeni szlafroka i zakryła twarz. Maigret czekał bez ruchu, siedząc w niewygodnym fotelu la Ludwik XV.

- Serce? - zapytała w końcu, zwijając chusteczkę w kulkę.
- Co pani ma na myśli?
- Wolał, żeby o tym nie mówić, ale miał chore serce i chodził do profesora



Jardin...

- Nie umarł na serce... Został zamordowany...

- Gdzie?

- Nie wiem... Ciało zostało potem przeniesione na avenue Junot i rzucone na chodnik...

- To niemożliwe... Nie miał wrogów...

- Należy przypuszczać, że miał co najmniej jednego, skoro został zabity...

Zerwała się.

- Gdzie on jest teraz?

- W instytucie medycyny sądowej...

- To znaczy, że mu...

- Zrobią sekcję, tak... To nieuniknione...

Mały biały piesek przydreptał leniwie z głębi korytarza i trącił nosem swoją panią, która chyba nawet tego nie zauważyła.

- Co mówią w restauracji?

- Nie byłem tam jeszcze. Co by mogli powiedzieć?

- Dlaczego tak wcześnie wyszedł z "Sardine"? Zostaje zawsze ostatni i sam zamyka drzwi, zanim zrobi kasę...

- Pani tam pracowała?

- Nie. To tylko restauracja. Bez występów baletowych czy piosenkarskich.

- Pani była tancerką?

- Tak.

- Już pani nie tańczy?

- Nie, odkąd wyszłam za mąż.

- A jak dawno wyszła pani za mąż?

- Cztery lata temu...

- Gdzie go pani poznała?

- W "Sardine"... Tańczyłam wtedy w "Canari"... Kiedy kończyliśmy niezbyt późno, wpadałam czasem coś przegryźć...

- I on panią wypatrzył?

- Tak.

- Była pani też fordanserką?

Skrzywiła się.

- Zależy, co pan przez to rozumie. Kiedy klient nas zapraszał na butelkę

szampana, nie odmawiałyśmy, ale na tym się kończyło...

- Miała pani kochanka?

- Dlaczego pan mnie o to pyta?

- Dlatego, że szukam kogoś, kto mógłby źle życzyć pani mężowi...

- Kiedy go poznałam, nie miałam kochanka...

- Był zazdrosny?

- Bardzo.

- A pani?

- Nie uważa pan, panie komisarzu, że to przesłuchanie staje się niestosowne w chwili, kiedy żona dowiaduje się o śmierci męża?

- Ma pani swój własny samochód?

- Maurice podarował mi niedawno alfa romeo.

- A on? Jaki ma wóz?

- Bentleya.

- Sam prowadził?

- Miał szofera, ale czasem jeździł sam.

- Przepraszam, że byłem tak nieprzyjemny, to niestety mój zawód...

Wstał z westchnieniem. W wielkim salonie, w którym leżał wspaniały chiński dywan, panowała cisza. Odprowadziła go do drzwi.

- W najbliższych dniach pewnie będę jeszcze miał do pani parę pytań. Woli pani, żebym panią wezwał na Quai des Orfvres czy żebym tu przyszedł?

- Tutaj...

- Dziękuję.

Odpowiedziała mu chłodnym "dobranoc". Miał ciągle pełny żołądek, ciężką głowę.

- Do "Sardine", na ulicę Fontaine...

Przed restauracją stało jeszcze kilka luksusowych samochodów, po chodniku spacerował tam i z powrotem portier w liberii. Maigret wszedł i łyknął świeżego powietrza, bo w sali była klimatyzacja. Raoul Comitát, maitre d'htel, którego dobrze znał, wybiegł mu naprzeciw.

- Stolik dla pana, panie Maigret?

- Nie.

- Jeśli chce się pan widzieć z szefem, to go nie ma...

Maitre d'hotel był łysy, miał twarz człowieka schorowanego.

- To się rzadko zdarza, prawda? - zauważył Maigret.

- Praktycznie prawie nigdy.

Restauracja była przestronna, stało w niej dwadzieścia, może dwadzieścia pięć stolików. Sufit belkowany, ściany w trzech czwartych pokryte starą dębową boazerią. Wszystko masywne, bogate, ale w całości nie obciążone tym złym gustem, który towarzyszy niemal zawsze imitacjom stylu wiejskiego. Było po trzeciej. Zostało już tylko z dziesięć osób, głównie aktorzy i artyści spokojnie jedzący kolację.

- O której godzinie Marcia wyszedł?

- Nie mogę panu powiedzieć dokładnie, ale chyba koło dwunastej.

- Nie zdziwiło to pana?

- Och! Tak... W ciągu dwudziestu lat nie wiem, czy zdarzyło się to ze trzy razy. Zresztą zna go pan. Nieraz podawałem tu panu i pana żonie. A on zawsze w smokingu. Ręce do tyłu. Wygląda, jakby się nie ruszał, a jednak wszystko widzi, ludzie myślą, że jest na sali, a on już w kuchni albo w swoim gabinecie...

- Zapowiedział panu, że wróci?

- Mruknął tylko: "Na razie". Staliśmy koło szatni. Yvonne podała mu kapelusz. Przypomniałem mu, że pada, i poradziłem, żeby wziął płaszcz, który wisiał na jednym z wieszaków. "Nie warto, idę niedaleko..."

- Wydawał się niespokojny?

- Trudno było coś odczytać z jego twarzy.

- Wściekły?

- Na pewno nie.

- Nie odebrał jakiegoś telefonu przed wyjściem?

- Trzeba zapytać w kasie. Wszystkie telefony odbiera kasjerka. Ale... proszę mi powiedzieć, dlaczego pan pyta?

- Dlatego, że został zastrzelony i znaleziono go na chodniku avenue Junot...

Rysy twarzy Maitre d'htela znieruchomiały, dolna warga leciutko drgnęła.

- To niemożliwe - szepnął do siebie. - Kto mógł to zrobić? Nie znam nikogo, kto by był jego wrogiem... W gruncie rzeczy zacy człowiek, szczęśliwy, dumny, że mu się powiodło... Była bójka?

- Nie. Został zabity gdzie indziej i przetransportowano go, chyba samochodem, aż na avenue Junot... Powiedział pan, że wychodził stąd w kapeluszu?

- Tak.

- Na avenue Junot nie było kapelusza.

- Chcę zadać kilka pytań kasjerce.

Matre d'htel podbiegł do stolika, przy którym klient prosił o rachunek.

Rachunek był gotowy, położył go na talerzyku przykrywając do połowy serwetką.

Kasjerka, niska szczuplutka brunetka, miała piękne czarne oczy.

- Jestem komisarz Maigret...

- Wiem...

- Nie ma co dłużej ukrywać: pani szef został zamordowany...

- Dlatego miał pan taką minę, jakby pan spiskował z Raoulem. Nie mogę uwierzyć... Stał tu dopiero co, tu, gdzie pan...

- Nie odbierał żadnego telefonu?

- Jeden jedyny, na chwilę przed wyjściem.

- Dzwonił mężczyzna? Kobieta?

- Właśnie się nad tym zastanawiałam. Albo mężczyzna o dość cienkim głosie, albo kobieta o głosie raczej niskim...

- Słyszała pani już kiedyś ten głos?

- Nie. Poproszono pana Maurice'a...

- Tak go nazwano?

- Tak. Tak jak nazywają go wszyscy znajomi. Zapytałam, kto mówi, głos odparł: "On będzie wiedział"... Ledwo zdążyłam podnieść wzrok, a już pan Maurice był obok mnie. "To do mnie? Jakie nazwisko podano? ...

- Nie podano żadnego nazwiska..." Zmarszczył brwi i wyciągnął rękę po słuchawkę. "Kto mówi?". Oczywiście nie słyszałam, co odpowiedziano po drugiej stronie. "Słucham? ... Źle słyszę... Co? ... Na pewno? Jak tylko cię dopadnę..." Telefonowano chyba z automatu, bo słyszałam dźwięk wrzucanej monety. "Wiem tak samo dobrze, gdzie to jest..." Odłożył gwałtownie słuchawkę. Skierował się do drzwi, ale wrócił i poszedł do gabinetu, który jest za kuchnią...

- Często tam chodzi?

- W ciągu wieczora rzadko. Czasem zagląda, żeby rzucić okiem na pocztę. Po zamknięciu zanoszę mu tam kasę i razem sprawdzamy...

- Pieniądze zostają tu do następnego dnia?

- Nie. Wynosi je w teczce, która służy praktycznie tylko do tego...

- Przypuszczam, że ma broń?

- Bierze pistolet z szuflady i wsuwa go do kieszeni... Tej nocy pan Maurice nie przynosił utargu, a jednak wrócił do gabinetu po pistolet.

- Innej broni tu nie trzyma?
- Nie. Wiem tylko o tej.
- Mogłaby mi pani pokazać jego gabinet?
- Chwileczkę...

Podąła Raoulowi Comitat rachunek.

- Tędy...

Szli korytarzem o ścianach pomalowanych na zielono. Po lewej stronie przez oszklone przepierzenie widać było kuchnię, gdzie czterej mężczyźni chyba robili porządki.

- To tutaj... Sądzę, że ma pan prawo wejść...

Gabinet był skromny, bez luksusu. Trzy solidne skórzane fotele, mahoniowe biurko empire, za nim kasa pancerna i półki z kilkoma książkami i pismami ilustrowanymi.

- Czy w tej kasie są pieniądze?

- Nie. Tylko rachunki. Można by się bez niej obejść. Była już tu, kiedy pan Maurice odkupił restaurację, i tak została...

- Gdzie zwykle leży pistolet?

- W prawej szufladzie...

Maigret otworzył ją. Były tam papiery, papierosy, cygara, ale broni ani śladu.

- Czy pani Marcia często telefonuje do męża?

- Prawie nigdy...

- Tej nocy też nie dzwoniła?

- Nie. Wiedziałabym, bo ja odbieram telefony.

- A on do niej?

- Rzadko. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz do niej dzwonił, to było przed Bożym Narodzeniem...

- Dziękuję pani...

Maigret czuł ciężar zmęczenia i opadł na siedzenie małego czarnego samochodu.

- Na bulwar Richard-Lenoir...

Deszcz przestał padać, ale jezdnie ciągle lśniły. Niebo zaczynało się rozjaśniać od wschodu.

Czuł niejasno, że coś w tej sprawie nie klapuje. Pan Maurice na pewno nie był święty. Młodość miał raczej burzliwą i kilkakrotnie siedział za stręczycielstwo.

Później, koło trzydziestki, awansował stając się właścicielem domu schadzek przy ulicy Hanovre, w tym czasie jednego z najbardziej znanych w Paryżu. Dom nie był zapisany na jego nazwisko. Popołudnia spędzał przeważnie na wyścigach. A jeśli nie tam, to prawie na pewno można go było znaleźć w bistro przy ulicy Victor-Mass, gdzie grywał w karty wraz z innymi podejrzanymi typami. Niektórzy nazywali go Sędzią. Twierdzili, że kiedy dochodziło do nieporozumień między ludźmi ze "środowiska", on wydawał wyrok jako ostatnia instancja. Przystojny mężczyzna, ubierał się u najlepszych krawców, nosił wyłącznie jedwabną bieliznę. Był żonaty i mieszkał już wtedy na ulicy Ballu. Z wiekiem przytył i nadawało mu to więcej godności.

Ach! Maigret zapomniał spytać kasjerkę, czy człowiek, który telefonował, mówił z akcentem. Mogło to mieć pewne znaczenie. Na razie brnął w gęstej mgle. Przypomniawszy sobie jedno ze zdań Maurice'a Marcii podczas którejś z ich ostatnich rozmów na Quai des Orfvres. Sprawa nie dotyczyła bezpośrednio Marcii, ale jego barman był podejrzany o udział w napadzie na filię dużego banku w Puteaux. "Co pan myśli o tym Freddy?" Barman nazywał się Freddy Strazzia i pochodził z Piemontu. "Myślę, że to dobry barman. - Uważa go pan za uczciwego? - Widzi pan, panie komisarzu, zależy, co się przez to rozumie. Są uczciwi i uczciwi. Kiedy się poznaliśmy, a obaj byliśmy wtedy, można by rzec, debiutantami, nie uważałem się za człowieka nieuczciwego, czego pan ani sędziowie nie potwierdzali. Stopniowo się zmieniałem... Można powiedzieć, że stawanie się uczciwym człowiekiem zajęło mi prawie czterdzieści lat życia. To tak jak z nawróconymi. Twierdzi się, że są najgorliwsi... Otóż ludzie uczciwi, którzy sami się ukształtowali, są skrupulatniejsi niż inni. Pyta pan, czy Freddy jest uczciwy. Nie dałbym sobie ręki uciąć, ale jestem pewny, że on nie jest taki głupi, aby maczać palce w tak źle zmontowanej aferze jak ta..."

Samochód zatrzymał się przed domem. Maigret podziękował szoferowi i wszedł na górę powoli, z trudem łapiąc oddech. Chciał jak najszybciej położyć się i zamknąć oczy.

- Zmęczony?

- Już nie mogę...

W niecałe dziesięć minut później już spał.

Mniej więcej o jedenastej zaczął się poruszać i pani Maigret od razu

przyniosła mu filiżankę kawy.

- Och! - zdziwił się. - Znowu słońce...
- To ta sprawa z ulicy Fontaine zatrzymała cię w nocy?
- Skąd wiesz?
- Z radia. Z gazety. Zdaje się, że ten pan Maurice jest ważną paryską

osobistością.

- Powiedzmy osobą - sprostował.
- Znałeś go?
- Odkąd zacząłem pracować w Policji Kryminalnej.
- Rozumiesz, dlaczego podrzucano ciało na avenue Junot?
- Nic jeszcze nie rozumiem... - przyznał się. - Tym mniej rozumiem, że Marcia

miał w kieszeni pistolet.

- No to co?
- Dziwne, że nie strzelił pierwszy. Chyba został zaskoczony...

Usiadł w fotelu, w szlafroku, podniósł słuchawkę i nakręcił numer Policji Kryminalnej.

O tej godzinie Lucas, który wrócił z nocnej służby, spał sobie smacznie.

Telefon odebrał Janvier.

- Bardzo pan zmęczony, szefie?
- Nie. Teraz już dobrze. Wiesz o wszystkim?
- Z gazet, z raportów, które przed chwilą nadeszły, zwłaszcza z komisariatu

osiemnastki. Miałem także telefon od doktora Bourdet.

- Co mówi?
- Strzał oddano z odległości około jednego metra, może półtora,

prawdopodobnie z rewolweru z krótką lufą kaliber 32 albo 38... Posłał go do laboratorium... Jeśli chodzi o biednego Marcie, śmierć była prawie natychmiastowa, bo miał wewnętrzny wylew...

- To znaczy, że nie było dużo krwi?
- Bardzo mało...
- Chorował na serce?
- Bourdet nic o tym nie mówił. Chce pan, żebym do niego zadzwonił?
- Sam zadzwonię. Będę w biurze wcześniej po południu. Gdybyś miał coś

nowego, telefonuj...

W kilka minut później połączył się z doktorem Bourdet.

- Pan chyba dopiero wstaje - powiedział do Maigreta. - Ja pracowałem do dziewiątej rano, a teraz przynieśli mi następnego klienta, a raczej klientkę...

- Niech mi pan powie... Poza raną nie zauważył pan niczego specjalnego, oznak jakiejś choroby?...

- Nie. To był zdrowy mężczyzna, bardzo dobrze zakonserwowany jak na swój wiek...

- Nie miał nic z sercem?

- O ile mogłem się zorientować, serce miał w dobrym stanie...

- Dziękuję panu, doktorze...

Czy Line, jasnowłosa żona Marcii, nie mówiła mu o profesorze Jardin, do którego jej mąż chodził od czasu do czasu na konsultacje? Zadzwoił do profesora, potem do szpitala, w którym pracował.

- Przepraszam, że panu przeszkadzam, profesorze... Tu komisarz Maigret... Zdaje się, że jeden z pańskich pacjentów zmarł tej nocy śmiercią gwałtowną. Mówię o Marcii...

- To ten restaurator z Montmartre'u?

- Tak.

- Widziałem go tylko raz. Miał chyba zamiar ubezpieczyć się na życie i przed zrobieniem badań chciał zasięgnąć porady wybranego przez siebie lekarza...

- Co pan stwierdził?

- Serce w doskonałym stanie...

- Dziękuję panu...

- A więc - zapytała pani Maigret - był chory?

- Nie.

- Dlaczego żona powiedziała ci...

- Wiem tyle co ty. Daj mi jeszcze jedną filiżankę kawy, dobrze?

- A co byś zjadł?

Pamiętał ciągle, jak mu w nocy ciążył żołądek.

- Szynek, ziemniaki z oliwą i sałatę...

- Nic więcej? Nie strawiłeś moich perliczek?

- Perliczki strawiłem, ale zdaje się, że Pardon i ja przeholowaliśmy trochę z nalewką... Nie mówiąc już, że wino...

Wstał, westchnął, zapalił pierwszą fajkę, po czym usadowił się przed otwartym oknem. Po niecałych dziesięciu minutach przywołał go dzwonek telefonu.



- Halo, szefie... Tu Janvier. Miałem właśnie wizytę inspektora Louis z dziewiątki... Chciał się z panem zobaczyć. Zdaje się, że ma coś interesującego... Pyta, czy może go pan przyjąć zaraz po południu.

- Niech przyjdzie o drugiej.

Z Louisem nigdy nic nie było wiadomo. Dziwny człowiek. Miał około czterdziestu pięciu lat, chyba od piętnastu był wdowcem i ciągle ubierał się na czarno od stóp do głów, jakby jeszcze nosił żałobę po żonie. Zresztą koledzy z jego dzielnicy nazywali go między sobą Wdowcem.

Nigdy nie widziano, żeby się śmiał czy żartował. Kiedy dyżurował w biurze, nie wychodził na przerwę. Ponieważ nie palił, nie przerywał pracy nawet na zapalenie fajki czy papierosa.

Najczęściej pracował w terenie, najchętniej w nocy. Prawdopodobnie najlepiej ze wszystkich paryżan znał dzielnicę Pigalle. Rzadko zatrzymywał jakąś kobietę czy stręczyciela nie mając solidnych dowodów. Kiedy przechodził ulicami, patrzono na niego z pewnym niepokojem.

Mieszkał sam w mieszkaniu, które dawniej zajmował wraz z żoną, po drugiej stronie bulwaru, w dolnej części ulicy Lepic. Urodził się w tej dzielnicy. Często widywano go, jak robi zakupy. W małym palcu miał rodowody wszystkich opryszków z okolicy, historię wszystkich panienek. W barach nigdy nie zdejmował kapelusza. Zamawiał niezmiennie ćwiartkę Vichy. Mógł tak tkwić bardzo długo, rozglądając się wokół. Czasem zwracał się do barmana: "Nie wiedziałem, że Francis wrócił z Tulonu. - Jest pan pewny? - Właśnie mnie zauważył i zwiął do toalety... - Nie widziałem go... Dziwne, bo zazwyczaj kiedy przyjeżdża do Paryża, przychodzi się przywitać... - To prawdopodobnie z mojego powodu. - Z kim był? - Z Madeleine... - To jego dawna..."

Nie robił notatek, a przecież wszystkie nazwiska, imiona, przezdzwiska i pseudonimy tych panów i pań miał metodycznie uszeregowane w głowie. Ulica Fontaine leżała w jego sektorze. Wiedział chyba więcej o panu Maurice'ie niż Maigret czy ktokolwiek inny. Poza tym nie przypadkiem zjawiał się na Quai des Orfvres; był przecież nieśmiały. Pogodził się z tym, że nigdy nie awansuje powyżej stopnia inspektora i wykonywał swój zawód najlepiej, jak umiał. Nie miał żadnej pasji, więc poświęcał mu się bez reszty.

- Schodzę po szynkę...

Maigret patrzył na nią przez okno, szła w kierunku ulicy Servan. Był szczęśliwy, że ma taką żonę, uśmiechał się lekko z zadowoleniem. Ile czasu inspektor

Louis żył ze swoją żoną, zanim wpadła pod autobus? Najwyżej kilka lat, ponieważ miał wtedy zaledwie trzydziestkę. Też patrzył przez okno, tak jak Maigret w tej chwili, i wypadek zdarzył się na jego oczach. Maigret odpukał w nie malowane, co nie leżało w jego zwyczaju, i odszedł od okna, dopiero gdy zobaczył żonę przechodzącą z powrotem na drugą stronę bulwaru i znikającą w bramie.

Maigret myślał kiedyś o wcieleniu Louisa do swojej brygady, ale był on takim ponurakiem, że mogłoby się to odbić na atmosferze biura inspektorów. W komisariacie dziewiątki, gdzie pracowało tylko trzech inspektorów i jeden stażysta, urządzano się w taki sposób, żeby Louis miał jak najwięcej roboty w terenie...

- Nieszczęsny facet!...

- Mówisz do siebie?

- Co powiedziałem?

- Powiedziałeś: "Nieszczęsny facet"... Myślałeś o Marcii?

- Nie. Myślałem o kimś, kto piętnaście lat temu stracił żonę i wciąż nosi żałobę...

- Ale chyba nie ubiera się całkiem na czarno? Nie ma już takiego zwyczaju.

- Owszem. Nie przejmuje się tym, co ludzie o nim myślą. Zdarza się, że ktoś, kto go widzi po raz pierwszy, bierze go za duchownego i zwraca się do niego "ojcze"...

- Nie ogolisz się? Nie wykąpiesz?

- Tak, zaraz. Ale ogarnia mnie cudowne lenistwo... Zanim wszedł do łazienki, dokończył palić fajkę.

## Rozdział 2

Okna w gabinecie Maigreta były znowu otwarte na drgające powietrze z zewnątrz i na hałas samochodów i autobusów na moście Saint-Michel. Inspektor Louis usiadł na brzegu krzesła, które wskazał mu komisarz. Miał powolne, niemal uroczyste ruchy, pasujące do czarnego stroju, który jeszcze bardziej raził w ten wiosenny dzień.

- Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć, panie komisarzu.

Jego delikatna i bardzo biała, prawie kobieca skóra kontrastowała z gęstymi czarnymi wąsami. Wargi miał czerwone, jakby je umalował szminką, a jednak nie było w nim nic zniewieściałego. W szkole pewnie był najbardziej nieśmiały z całej klasy. Tacy chłopcy czerwienią się i zaczynają jąkać, kiedy nauczyciel się do nich zwraca.

- Chciałbym sobie pozwolić na zadanie panu pytania.

- Proszę...

- Ciało zostało znalezione na avenue Junot. Czy dlatego śledztwo prowadzą inspektorzy z osiemnastej dzielnicy?

Maigret musiał się zastanowić, zanim odpowiedział:

- Na pewno będą przepytywać ewentualnych świadków, prowadzić poszukiwania samochodu, który w środku nocy zatrzymał się na avenue Junot, przesłuchają starego malarza, który zaalarmował policję, i innych okolicznych mieszkańców...

- A co dalej?

- Jak panu wiadomo, jest to sprawa brygady kryminalnej. Ale nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy przyjęli pomoc inspektorów dzielnicowych lub nawet zwrócili się o tę pomoc. Pan dobrze zna Montmartre, prawda?

- Urodziłem się tu i w dalszym ciągu tu mieszkam.

- Był pan w kontakcie z Maurice'em Marcją...

- Z nim i z jego pracownikami...

Zaczerwienił się. Musiał się zdobyć na duży wysiłek, żeby powiedzieć wszystko, co sobie obmyślił.

- Widzi pan, ja pracuję głównie w nocy, znam już wszystkich. Na Pigalle'u są do mnie przyzwyczajeni. Zamieniam kilka słów z tym i owym... Chodzę do barów i kabaretów, gdzie nie czekają na zamówienie, żeby mi podać ówiankę Vichy.

- Domyślam się, że skoro pan do mnie przyszedł, to znaczy, że ma pan coś do powiedzenia na temat zamordowania Marcii.

- Zdaje się, że wiem, kto go zabił.

Maigret, odchylony nieco do tyłu, spokojnie pykał fajkę, obserwując swojego interlokutora z zaciekawieniem, a nawet z zafascynowaniem.

- Ma pan podstawy do podejrzeń?

- I tak, i nie.

Był zakłopotany i nie śmiał spojrzeć komisarzowi prosto w twarz.

- Miałem dziś rano telefon...

- Anonimowy?

- Mniej więcej... Od lat telefonuje do mnie ta sama osoba.

- Kobieta czy mężczyzna?

- Mężczyzna... Nigdy nie chciał podać nazwiska. Kiedy na Montmartrze dzieje się coś mniej lub bardziej tajemniczego, dzwoni do mnie i zawsze zaczyna od słów: "To ja..." Rozpoznaję jego głos. Wiem, że dzwoni z automatu, nie traci czasu, mówi mi tylko to, co najistotniejsze. Na przykład: "W dzielnicy Chappelle szykuje się skok... To banda Coglia"...

Maigret zaproponował:

- Coglia siedzi w więzieniu, ma jeszcze kilka lat.

- Ale jego dawni wspólnicy działają...

- Czy pana anonimowy informator nigdy się nie myli?

- Nie...

- Nie żąda pieniędzy?

- Nie... Nie żąda nawet, żebym przymykał oczy na jakieś ciemne sprawy...

Maigret zaczął okazywać zainteresowanie.

- I on dzwonił do pana dziś rano?

- Tak. O ósmej, właśnie wychodziłem do sklepu... Mieszkam sam i muszę sam robić zakupy...

- Co dokładnie panu powiedział?

- "Pana Maurice'a zabił jeden z braci Mori"...

- Tylko tyle?

- Tylko tyle. Zna pan braci Mori, Manuela i Jo?

- Już od dwóch lat usiłujemy ich złapać na gorącym uczynku... Dotychczas nie udało nam się nic zdobyć przeciwko nim...

- Ja też ich mam na oku. Nie mieszkają razem. Starszy, Manuel, który ma trzydzieści dwa lata, zajmuje porządny, a nawet luksusowy apartament przy skwerze La Bruyere... Dwa kroki od "Sardine".

- Jo ma dwadzieścia dziewięć lat, wynajmuje sypialnię i salon w Htel des Iles przy avenue Trudaine... Ale ma pan na pewno wszystkie te informacje w ich aktach. Założyli firmę, handlują warzywami i owocami na ulicy du Caire. To taki długi magazyn, do którego wchodzi się prosto z ulicy... Jeden z nich zawsze tam jest.

- Czy utrzymywali znajomość z panem Maurice'em?  
- Czasami chodzili do niego na kolację. Wśród bywalców "Sardine" nie są jedynymi złodziejaskami.

- Czy Marcia pomagał im może w różnych skokach?
- Nie myślę. Stał się bogobożny i dbał o opinię.
- O którym z braci mówił pana anonimowy rozmówca?
- Nie wiem, ale jestem pewny, że w najbliższym czasie zadzwoni znowu.

Dlatego pozwoliłem sobie prosić o tę rozmowę.

- Chciałby pan współpracować z nami przy śledztwie?  
- Chciałbym współpracować w pewnym sensie nieoficjalnie. Nigdy nie wyszedłem poza swoje kompetencje, może pan mieć do mnie zaufanie. Obiecuję, że będę pana informował na bieżąco o wszystkim, co ewentualnie odkryję.

- Dobrze pan zna braci Mori?  
- Spotykam ich w barach... Manuel miał kochankę z Martyniki, była bardzo piękna...

- Co się z nią dzieje?  
- Tańczy i śpiewa w lokalu dla turystów...  
- Teraz ma inną?  
- Nie... Widuję go zawsze samego albo z bratem... Brat żyje z dziewczyną z prowincji. Nazywa się ona Marcelle, ma dwadzieścia dwa lata...

- Nie myśli pan, że mogłaby być słabym ogniwem w łańcuchu?  
- To dziewczyna z charakterem, szaleje za Jo Mori...  
- Sądzi pan, że ona zna afery obu braci?  
- Nie wiem, na ile mają do niej zaufanie... Nie widziałem ich też nigdy z ludźmi, którzy mogliby być ich współnikami podczas skoku... Odkryto już z dziesięć włamań, wszystkie dokonane w ten sam sposób, identyczną techniką. Obiektem był zawsze zamek albo duża rezydencja na prowincji w promieniu mniej więcej stu pięćdziesięciu kilometrów od Paryża. Włamywacze mieli dobre informacje. Wiedzieli, jakie przedmioty, obrazy czy wartościowe meble znajdują się w budynkach. Wiedzieli też, kiedy właściciele są nieobecni i ile osób pilnuje posiadłości. Działali bezszelestnie, nie uszkodzali drzwi. W niecałe pół godziny wynosili wszystko, co nadawało się do sprzedania. Posiadali więc co najmniej jedną ciężarówkę. Otóż bracia Mori mieli dwie ciężarówki, które służyły im do transportu owoców. Tak się składa, że również dwa lata temu założyli swoją firmę importową.

Manuel pracował przedtem u komisjonera w Halach. Jo natomiast przez trzy lata w biurze architektonicznym. Ale gdzie składowano towar pochodzący z włamania? Prawdopodobnie w pobliżu Paryża, w willi czy w domu wynajętym na inne nazwisko.

- Kto mógłby pełnić funkcję strażnika towarów?

- Nie mogę przysiąc, ale wydaje mi się, że wiem. Matka braci Mori.

- Zna ją pan?

- Nigdy jej nie widziałem. Wiem, że żyje. Mieszkała z dziećmi w Arles. Kiedy oni przyjechali do Paryża, ona została jeszcze przez kilka lat na Południu z córką.

Córka wyszła za mąż i mieszka w Marsylii.

Tak więc inspektor Louis pracował od dawna sam, cierpliwie, nie wspomagany przez machinę oficjalnej policji.

- Skąd pan to wszystko wie?

- Patrzę i słucham. Mam rozmówców w różnych miejscach, to ludzie, którym czasami oddaję przysługę.

- Co się dzieje z matką braci?

- Sprzedała dom w Arles wraz ze wszystkimi meblami i więcej jej tam nie widziano.

- Założę się, że przeszukał pan podparyskie wsie...

- Wyprawiam się tam w niedziele albo w wolne dni...

- Nic pan nie znalazł?

- Jeszcze nie...

Znowu się zaczerwienił, jakby zawstydzony tą pewnością siebie.

- Co pan wie o pani Marcia?

- Mówi pan o aktualnej? Bo przedtem była inna, pan Maurice żył z nią prawie dwadzieścia lat. Stanowili nierozłączną parę. Zgarnął ją z ulicy, ale zrobił z niej panią. Kiedy umarła na raka, ciężko to przeżywał, przez kilka miesięcy był nie ten sam człowiek...

Dawno temu Maigret, jako młody chłopak, pracował w transporcie, potem na dworcach, w metrze, w domach towarowych. W tamtym okresie on też znał całe przestępcze środowisko Paryża. Teraz zamknięto go w biurze, a jego szef był zaszokowany, kiedy Maigret szedł na spotkanie do domu podejrzanego albo myszkował w terenie.

- Skąd wytrzasnął swoją obecną żonę Line?

- Była tancerką w "Tabarin", ostatnio w "Canari". Zdaje się, że tam ją poznał.

Mimo swojego zawodu była dyskretna, miała skromny wygląd i chyba nigdy nie szła z klientem. Ta kobieta ma pewne wykształcenie.

- Może mi pan jeszcze powie, skąd ona pochodzi albo skąd pochodzą jej rodzice, co studiowała.

Inspektor Louis znowu się zaczerwienił.

- Urodziła się w Brukseli, gdzie jej ojciec pracuje w banku. Uczyła się do osiemnastego roku życia i dostała pracę w tym samym banku. Przyjechała do Paryża za młodym człowiekiem, który liczył, że zrobi tu majątek, był malarzem. Sukces nie przyszedł tak szybko, jak się spodziewał. Line zaczęła pracować w sklepie na Wielkich Bulwarach jako ekspedientka. Malarz rzucił ją, wtedy trafiła do "Tabarin", gdzie początkowo była statystką.

Maigret znał inspektora od lat. Co prawda nie utrzymywali bliższych stosunków i spotykali się nie więcej niż raz na miesiąc. Przez jakiś czas Maigret brał go za głupka, potem zorientował się, że - wprost przeciwnie - jest to chłopak inteligentny. Teraz patrzył na niego z ciekawością graniczącą z podziwem.

- Czy o wielu ludziach z Montmartre'u wie pan tak dużo?

- No cóż, z biegiem lat uzbierało się tego.

- Prowadzi pan kartotekę?

- Nie. Notuję wszystko w głowie. Nie mam nic innego do roboty, żadnych innych zainteresowań.

Maigret wstał, podszedł do drzwi pokoju inspektorów, otworzył je.

- Janvier, mógłbyś tu przyjść na chwilę?

I zwrócił się do obu:

- Chyba się znacie?

Uścisnęli sobie dłonie.

- Odbyliśmy dość długą rozmowę z inspektorem Louis na temat zabójstwa Marcii. Masz coś nowego?

- Tylko tyle, że jakiś czerwony samochód zatrzymał się na chwilę około pierwszej w nocy na środku avenue Junot.

- Oczywiście nasi ludzie prowadzą dalej śledztwo. Ale inspektor Louis zna kilku bohaterów sprawy, będzie więc pracował na własną rękę i informował nas na bieżąco o swoich ewentualnych odkryciach. Znasz braci Mori?

- Podejrzewaliśmy ich kiedyś, że stoją na czele tak zwanych gangów zamkowych.

- Czy w dalszym ciągu są pilnowani?

- Niespecjalnie. Sprawdzamy tylko ich wyjazdy i przyjazdy. Młodszy, Jo, dość często jeździ do Cavaillon i w okolice po nowalijki.

- Od dzisiaj będziecie ich śledzić w dzień i w nocy...

- Obu?

- Obu...

- Znowu z powodu zamków?

- Nie, tym razem chodzi o morderstwo. O zamordowanie Maurice'a Marcii.

Janvier spojrzał machinalnie na kolegę z dziewiątej dzielnicy. Najwyraźniej niezbyt był zadowolony, że inspektor Louis wtrąca się do tej sprawy.

- Czy jeszcze kogoś trzeba pilnować?

- Wdowę...

- Uważa pan, że...?

- Wiesz, że nic nie uważam. Szukam. Wszyscy szukamy.

Uścisnął dłoń inspektora Louis.

- Wraca pan na Montmartre?

- Tak.

- Ma pan samochód?

- Nie.

- Ja też tam jadę. Mogę pana podzucić. Janvier, chciałbym, żebyś mnie zawiózł.

Janvier usiadł za kierownicą. Obok niego Maigret palił swoją fajkę, a Louis siedział sam z tyłu, gdzie nie czuł się bardzo swobodnie. Zawsze marzył, żeby pracować bezpośrednio dla Quai des Orfvres, i misja, którą mu wyznaczył Maigret, była jakby awansem.

Gdy znaleźli się na ulicy Notre-Dame-de-Lorette, Janvier zapytał:

- Dokąd jedziemy?

- Wyżej. Na ulicę Ballu.

- Do Maurice'a Marcii?

- Tak.

- Gdzie pan wysiada?

- Wszystko jedno gdzie, to już moja dzielnica.

- Wobec tego niech pan wysiądzie tutaj...

- Wie pan, gdzie mnie łąpać. Mój domowy numer jest w książce



telefonicznej...

- Dziękuję panu...

Louis wysiadł niezdarnie i zaczął iść miarowym krokiem, nie spiesząc się.

Kilka minut później Maigret i Janvier dzwoniли do drzwi dawnego pałacyku.

Otworzyła im dozorczyńni. Miała najwyżej czterdzieści lat i była dość ładna. Spojrzała na nich przez oszklone drzwi, komisarz pchnął je.

- Przywieziono ciało?

- Jeszcze nie, ale ci panowie z zakładu pogrzebowego są na górze... Podobno ciało ma tu być koło dwunastej...

- Przedstawiam pani inspektora Janvier, który też zajmuje się tą sprawą. Od ilu lat pani Marcia mieszka w tym domu?

- Od chwili, kiedy się pobrali... Chyba ze cztery lata...

- Dużo ludzi ich odwiedzało?

- Właściwie nikt. Jak pan wie, on nie wracał nigdy przed trzecią czy czwartą rano. Całe przedpołudnie spał, jadł obiad, odpoczywał, przychodził jego masażysta.

- Kolację jadł tutaj?

- Rzadko. Przeważnie w swojej restauracji.

- Z żoną?

- Nie. Chyba nie chciał, żeby tam chodziła.

- Dlaczego?

- Może... żeby nie zawierała podejrzanych znajomości. Niech pan nie zapomina, że on miał sześćdziesiąt lat, a ona zaledwie trzydzieści...

- Co robiła w ciągu dnia?

- Dawała instrukcje kucharce i pokojówce. Czasem wybierała się do Fauchona albo innego luksusowego sklepu, żeby kupić jakieś rzeczy, których nie ma w naszej dzielnicy... Raz albo dwa razy na tydzień szła do fryzjera...

- Do śródmieścia?

- Na ulicę Castiglione, tak mi się zdaje.

- A wieczorem?

- Czytała albo oglądała telewizję. Przed pójściem spać wyprowadzała psa na dziesięć minut...

- Nie chodziła do kina?

- Prawdopodobnie chodziła. Raz albo dwa razy w tygodniu cały wieczór spędzała poza domem...

- Nikt jej nigdy nie odwiedzał?
- Nigdy.
- Dziękuję pani. Ona jest teraz na górze?
- Tak. Przyszedł do niej krawiec.

Nie wsiedli do windy, zadzwonili do drzwi na pierwszym piętrze. Otworzyła im młoda pokojówka z olbrzymim biustem.

- Słucham panów?
- My do pani Marcia.
- Pani Marcia jest zajęta.
- Poczekamy...
- Kogo mam zapowiedzieć?
- Policja Kryminalna...
- Chwileczkę.

Zostawiła ich w holu i podeszła do drzwi w głębi. Drzwi od salonu były otwarte. Meble w stylu Ludwika XV zniknęły, podobnie jak wielki chiński dywan. Stojący na drabinach mężczyźni przyklejali czarne tapety.

Tak więc urządzano wszystko z rozmachem i salon zamienił się w kaplicę. Krawiec był tu zapewne w sprawie stroju żałobnego.

- Panowie pozwolą za mną...

Wprowadziła ich do gabinetu czy raczej biblioteki, gdzie od podłogi po sufit stały na półkach książki, w twardych oprawkach, których pan Maurice na pewno nie przeczytał. Były też wygodne fotele oraz mały bar, prawdopodobnie z lodówką; na biurku poza czerwonymi przyborami do pisania nic nie leżało. Urządzono ten pokój w stylu angielskim. Mahoniowy nawilżacz inkrustowany kością słoniową zawierał pewnie kosztowne cygara. Czy te meble i przedmioty były już tutaj, kiedy Line się wprowadzała? Czy też ona nadała pewien styl temu wnętrzu?

- Ten gabinet nieczęsto był używany... - szepnął Maigret zwracając się do Janvier. - Gdybyś widział meble w salonie... Istne muzeum!

- A teraz będzie tam prawdziwa kaplica cmentarna!

Usłyszeli zbliżające się kroki i zamilkli.

Line miała na sobie bardzo skromną czarną suknię z matowego jedwabiu, na palcu diament, którego chyba nigdy nie zdejmowała. Na chwilę zatrzymała się w drzwiach z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Spoglądała to na Maigreta, to na Janvier. Czy była zaskoczona tym, że stało przed nią dwóch mężczyzn zamiast

jednego? Jakie to miało dla niej znaczenie? Czy nadawało to, w jej mniemaniu, bardziej oficjalny charakter tej wizycie?

- Inspektor Janvier, jeden z moich najbliższych współpracowników.

Skinęła lekko głową.

- Panowie chyba zdają sobie sprawę, że jestem bardzo zajęta...

- My również jesteśmy zajęci, proszę mi wierzyć, i nie dla własnej przyjemności pani przeszkadzamy...

Wszyscy troje stali. Ponieważ ona nie proponowała, żeby usiedli, wyręczył ją Maigret.

- Długo to potrwa?

- Nie sędzę.

- Wczoraj mógł mi pan zadać wszystkie pytania, jakie pan chciał.

Odpowiadałam szczerze. Ciało przywiozą o siódmej wieczorem.

Komisarz udał, że nie słyszy. Rozglądając się dokoła z miną człowieka, który zna się na rzeczy, zapytał:

- Czy te meble były już w tym mieszkaniu, kiedy pani się wprowadzała cztery lata temu?

- Pięć - poprawiła. - Niedługo przypada piąta rocznica naszego ślubu...

- A meble?

- Zostały kupione właśnie wtedy. Przedtem były tu inne.

- Mniej luksusowe?

- W innym stylu.

- Kto z was dwojga postanowił je zmienić?

- Mój mąż. Nie chciał, żebym żyła wśród mebli, które długie lata należały do jego pierwszej żony.

- Nie pytam pani, czy są autentyczne. Wczoraj podziwiałem te z salonu...

- Są autentyczne - odparła niechętnie.

- Kupowała je pani razem z nim?

- Wołał sam chodzić do antykwariuszy, lubił mi robić niespodzianki. Ale co to pytanie o meble ma wspólnego...

- Prawdopodobnie nie ma nic wspólnego ze śmiercią pani męża, ale z doświadczenia wiemy, że w przypadku morderstwa niczego nie wolno pominąć. Mąż był bardzo bogaty?

- Nie rozmawiałam z nim o pieniądzach. Wiem tylko, że jego restauracja

bardzo dobrze prosperowała i że zadawał sobie wiele trudu, żeby ten stan rzeczy utrzymać.

- Był bardzo zakochany...
- Na jakiej podstawie pan tak myśli?
- Nie urządzi się tak mieszkania dla kobiety, która jest człowiekowi obojętna.
- Kochał mnie.
- Założę się, że małżeństwo zostało zawarte na zasadzie wspólnoty

majątkowej.

- To chyba normalne, nie?
- Kiedy odbędzie się pogrzeb?
- Pojutrze. Po mszy w kościele Notre-Dame-de-Lorette ciało zostanie przewiezione do Bandol, gdzie mamy willę, i pochowane na miejscowym cmentarzu.

- Pojedzie pani do Bandol?
- Oczywiście.
- A przyjaciele?
- Nie... Nie wiem. To nie ode mnie zależy.
- Inne pytanie. Co się stanie z restauracją?
- Będzie otwarta. Tylko pojutrze nie, w dzień pogrzebu.
- Kto ją przejmie?

Zawahała się chwilę.

- Ja... - rzekła w końcu.
- Ma pani wystarczające doświadczenie?
- Personel tak długo pracował z moim mężem, że firma mogłaby

funkcjonować sama...

- Pani tryb życia całkowicie się zmieni...

Maigret wiedział, że irytują ją pytania, które zdawały się nic nie znaczyć, ale pytał dalej robiąc głupkowatą minę.

- Mój tryb życia nie powinien nikogo obchodzić, dopóki nie naruszam prawa, no nie?

- To tylko taka refleksja... Tu siedziała pani w zamknięciu... Wieczory spędzała pani samotnie...

- Nikt mi nie zabraniał wychodzić...
- Wiem... Czasem szła pani do kina... Ale nie miała pani przyjaciół, przyjaciółek...

Weszła pokojówka, zakłopotana.

- Tamci panowie pytają, czy mamy rośliny doniczkowe, bo inaczej będzie pusto...

- Proszę im pokazać te, co stoją na tarasie...

Zwróciła się do Maigreta:

- Widzi pan, że mnie tam potrzebują. Jestem niemile zdziwiona pańskimi pytaniami, tym bardziej że wczoraj dał mi pan do zrozumienia, że darzył pan mojego męża sympatią...

- Postaram się jak najmniej pani przeszkadzać.

- Uprzedzam pana, że jestem zdecydowana nie przyjmować pana więcej.

- Szkoda, bo zmusi mnie to do wezwania pani na Quai des Orfvres. Pani mąż był tam częstym gościem, zanim został właścicielem "Sardine"... Nie miał też wtedy willi w Bandol...

- Musi pan przypominać te nieprzyjemne sprawy?

- Nie. W przeciwieństwie do pani on miał dobrych przyjaciół. Zastanawiam się, czy nie zna pani kilku z nich. Może przyjmował ich latem w swojej willi w Bandol... Na przykład braci Mori...

Jeśli zadrżała, zrobiła to tak dyskretnie, że nie dało się tego zauważyć.

- Powinam ich znać?

- Pytam panią. Jest ich dwóch, Manuel i Jo... Mają przedsiębiorstwo importowe na ulicy du Caire...

- Nie znam ich, ani jednego, ani drugiego...

- Dość często jadali kolacje w "Sardine".

- Ja tam nie bywam...

- Ostatnie pytanie. To mieszkanie jest obszerne. Czy nadal będzie pani tu mieszkała?

- Mąż zawsze mnie o to prosił, chciał też, żebym zatrzymała restaurację i dom w Bandol. "To tak jakbym jeszcze trochę żył", mówił mi...

- Spodziewał się tego, co go spotkało?

- Z pewnością nie.

- Ale nosił pistolet w kieszeni...

- Tylko wtedy, kiedy szedł z pieniędzmi. Wszyscy, którzy regularnie przenoszą duże sumy, są uzbrojeni...

- No dobrze, a kiedy już tu wracał, gdzie umieszczał pieniądze?

- W sejfie.
- Gdzie jest ten sejf?
- Za płótnem Delacroix, o tam, po prawej stronie kominka.
- Zna pani szyfr?
- Nie. Będę musiała sprowadzić specjalistę albo nawet zwrócić się do

producenta...

- Dziękuję pani...

Wstała już i czuło się, że ciągle jest spięta. Zdawało się, że robi przegląd wszystkich pytań, które zadał jej komisarz. Do czego one ostatecznie prowadziły? Sam Maigret miałby trudności z odpowiedzią. Odczuwał pewien niesmak. Nie podobały mu się różne szczegóły w tej sprawie.

Znalazł się znów na ulicy razem z Janvierem. Słońce było jeszcze wysoko i przypiekało.

- Myśli pan, szefie, że ona wie więcej, niż mówi?
- Dałbym sobie rękę uciąć.
- Chce pan powiedzieć, że była... no... współniczką?
- Tego nie twierdzę, ale cała historia jest na pewno o wiele mniej jasna, niż

ona chce nam to wmówić.

- Dokąd jedziemy?
- Na ulicę Fontaine...

O tej porze nie było klientów, ale dwaj kelnerzy nakrywali już do kolacji. Freddy, barman, wycierał butelki i ustawiał je na półkach.

Komisarz skierował się w jego stronę.

- Nie ma tu Comitata?
- Odpoczywa w gabinecie szefa...
- Już?
- Nie rozumiem.
- Pan Maurice jeszcze nie został pochowany, a on już się tam rozsiada...
- Myli się pan. Nawet za życia pana Maurice'a Raoul miał zwyczaj spędzać

godzinę z zamkniętymi oczami w jednym z foteli w gabinecie...

- Wie pan, że pogrzeb jest pojutrze?
- Jeszcze mnie nikt nie powiadomił.
- Restauracja będzie zamknięta, żeby cały personel mógł wziąć udział w mszy.
- To normalne, nie?

- Następnie ciało zostanie pochowane w Bandol.

- To mnie nie dziwi. Szef urodził się między Marsylią a Tulonem, nie pamiętam, jak się nazywa to miasteczko, raz do roku zamykał knajpę na miesiąc i jechał do swojej willi w Bandol...

- Nie zastanawiał się pan, co będzie z restauracją?

- Mnie tam wszystko jedno. Na pewno znajdzie się ktoś, kto ją poprowadzi. To złota żyła...

- Odtąd nie będzie pan już miał szefa, tylko szefową...

- Żartuje pan?

- Pani Marcia zdecydowała się zająć miejsce męża.  
Freddy zrobił śmieszny grymas, po czym rzucił:

- W końcu to jej sprawa...

- Zna ją pan?

- Z czasów, kiedy była w "Tabarin". Pracowałem tam dwa lata, zanim przyszedłem tutaj. Ona tam była girlaską.

- I co pan o niej myśli?

- Nie miałem wiele okazji, żeby z nią rozmawiać. Wstępowała do baru coś przekąsić i to wszystko... Wyglądała na waźniaczkę... Tu, na Montmartrze jesteśmy raczej przyzwyczajeni do prostych dziewczyn. A ona... miała klasę... Pochodzi chyba z nie byle jakiej rodziny i pewnie jest wykształcona...

- Bracia Mori często przychodzą tu na kolację?

Freddy nie dostrzegł w tym podstępu.

- Od czasu do czasu... Niezbyt regularnie... Wie pan, z powodu tej swojej firmy muszą wcześniej wstawać...

- Przyjaźnili się z szefem?

- Pan Maurice przysiadł się do nich na chwilę, tak jak do stałych klientów... Czasem nawet stawiał im butelkę dobrego koniaku ze starych zapasów...

- Ale pani Marcia nigdy nie zaglądała?

- Nigdy...

- Nie wie pan, dlaczego?

- Podejrzewam, że pan Maurice był zazdrosny. To ładna dziewczyna, jeśli się lubi ten typ... Między nimi była różnica przeszło trzydziestu lat...

Rzucił okiem w głąb sali.

- O, Raoul już jest.

Matre d'htel zobaczył ich i podszedł wyciągając rękę do Maigreta, potem do Janviera.

- Do mnie pan przyszedł?

- Spodziewaliśmy się pana zastać, ale nasza wizyta nie ma jakiegoś szczególnego celu. Mówiłem właśnie Freddy'emu, że msza odbędzie się pojutrze w kościele Notre-Dame-de-Lorette...

- To znaczy zamykamy... Powinni byli powiedzieć mi o tym wcześniej... Na razie to przecież ja muszę prowadzić lokal... Jestem tu już szesnaście lat, a ona...

Przerwał zażenowany. Miał pewnie na końcu języka: "A ona dopiero pięć lat dzieli z nim łóżko".

- Wie pan, kto zastąpi pana Maurice'a?

- Z pana pytań łatwo odgadnąć. Zresztą już wczoraj o tym pomyślałem. Ona, prawda?

- Tak. Zna ją pan?

- Widziałem ją w Bandol. Szef wiedział, że spędzam wakacje na Wybrzeżu, i zaprosił mnie na obiad do swojej willi. Chętnie by tam człowiek dożył swoich dni, mówię panu... Nie jest bardzo duża... Nie rzuca się specjalnie w oczy. Ale wszystko w niej jest prawdziwe, solidne... Ja też jestem z Południa... Znam się trochę na starych prowansalskich meblach... Nieczęsto widziałem takie jak u pana Maurice'a...

Odwrócił się do Freddy'ego.

- Nic jeszcze panom nie podałeś? Czego się panowie napiją?

- Ja piwa...

- Ja też - powiedział Janvier, trochę speszony.

Comitat westchnął:

- W każdym razie śmiesznie będzie mieć za szefa kobietę... Będzie wyglądała na burdel, co?

- Niektórzy klienci na pewno poczują się jak w rodzinie...

- Wie pan, tu przychodzą różni, ministrowie, artyści, filmowcy, a nawet bankierzy. Adwokaci też, i lekarze, nie mówiąc o kilku byłych bandziorach, jak pan zauważył.

- Bracia Mori nadal tu bywają?

Nastąpiła chwila ciszy.

- Od czasu do czasu. Ja to ich nigdy za bardzo nie lubiłem, zwłaszcza Manuela. Ten facet chce zawsze wszystkim imponować. Ma szpanerskie samochody,



takie, że można by go brać za krezusa. A tą ich firmą handlową kieruje jego brat Jo. Manuel wpada tylko na ulicę du Caire, a przeważnie jeździ sobie do Deauville, do Touquet czy gdzie indziej...

- Z kobietami?

- Kobiet to mu chyba nie brakuje, bo przystojny z niego facet, ale nie widziałem, żeby był poważnie z kimś związany... Mnie tam nic do tego... Szef, zdaje się, dosyć go lubił.

- Jedna rzecz mnie dziwi. Pan Maurice wydawał się bardzo zakochany i bardzo zazdrosny o żonę. Zostawiał ją samą w domu z kucharką i z pokojówką. A jeśli dobrze zrozumiałem to, co mi wczoraj powiedziała kasjerka, nie zadawał sobie trudu, żeby zatelefonować do niej, choćby na dobranoc...

- Co pan o tym może wiedzieć?

- Jak to? Kasjerka kłamała?

- Nie, nie kłamała, ale ona wie tyle co ja. Szef bardzo często chodził do swojego gabinetu i kazał przełączać swój telefon na inną linię... Mógł więc dzwonić, do kogo chciał...

- Jak często?

- Raz czy dwa razy w ciągu wieczora...

- Myśli pan, że dzwonił właśnie do żony?

- Może załatwiał też inne sprawy, ale i do niej chyba dzwonił...

- A jeśli jej nie zastawał?

Matre d'htel spojrział na niego, ale nie odpowiedział.

- Miejmy nadzieję, że nigdy się to nie zdarzyło - wymamrotał po chwili. I łatwo było odgadnąć, co naprawdę myśli. Kasjerka zajęła miejsce za swoim małym kontuarem i przygotowywała kasę.

- Pozwoli pan, że powiem jej dwa słowa?

- Jest pan u siebie, komisarzu...

I, ponieważ Maigret chciał zapłacić za dwa piwa, dodał:

- To na koszt firmy.

- Dobry wieczór pani.

- Dobry wieczór, panie komisarzu...

- Mówiła mi pani wczoraj, czy raczej dziś rano, że pan Maurice rzadko panią prosił o połączenie z kimś.

- Zgadza się.

- A jednak prawie co wieczór dzwonił do żony!

- Nic o tym nie wiem. Zdarzało się, że prosił mnie o przełączenie swojego aparatu na inną linię... Wtedy nie mogłam wiedzieć, do kogo dzwoni...

- To się odbywało zawsze o tej samej godzinie?

- Nigdy przed jedenastą... Częściej koło wpół do pierwszej...

- Telefonował poza Paryż?

- Od czasu do czasu. Wiem to z rachunków telefonicznych, bo ja je płaciłam...

- Dzwonił zawsze w to samo miejsce?

- Nie... W rachunkach najczęściej powtarzała się mała miejscowość, którą trudno znaleźć na mapie: les Eglandes w departamencie Oise.

- Wie pani, że teraz będzie pani miała szefową zamiast szefa?

- Spodziewałam się tego.

- Jak pani się na to zapatruje?

- To nic przyjemnego... No, ale zobaczymy...

W barze było teraz dwóch gości. Maigret i Janvier wsiedli do samochodu.

- Do biura, szefie?

- Zastanawiam się, czy nie wrócić do domu... Zdaje się, że zaczyna mnie ogarniać lenistwo... Zmęczyło mnie zadawanie tych pytań, które nie wiadomo do czego prowadzą...

- Myśli pan, że to było morderstwo z premedytacją?

- Nie... Albo jest to jedna z najdziwniejszych zbrodni, jakie znam...

- Ciągle pan mówi o braciach Mori...

- Bo już dawno mam ich na oku... Nie przypadkiem rozmawiałem z panią Marcia o meblach, ku jej wielkiemu zdumieniu... Maurice był człowiekiem nieokrzesanym, bez żadnego wyczucia artystycznego... Otóż prawie z dnia na dzień wypełnił swoje mieszkanie antykami, które są niemal obiektami muzealnymi...

- Banda włamywaczy do zamków?...

- Czemu nie? Wszystko w najlepszym guście, w każdym razie tak mi się zdaje. Mam zamiar sprowadzić rzeczoznawcę, żeby to wycenił. Jeśli te meble i przedmioty zostały kupione u antykwariuszy, to przecież muszą gdzieś być rachunki...

- Myśli pan, że Line Marcia jest wtajemniczona?

- Nie przysięgłbym, że tak; ale nie przysięgłbym też, że nie. Bardzo mocno podkreślała, że nigdy nie towarzyszyła mężowi podczas tych zakupów...

Była to godzina szczytu i prawie czterdzieści pięć minut zajęło im dotarcie na

bulwar Richard-Lenoir.

- Do jutra, Janvier.

- Do jutra, szefie.

Maigret otarł czoło i zaczął wchodzić na górę. Był zlany potem.

- Ktoś tu dzwonił trzy razy, ale nie chciał zostawić swojego numeru... Będzie próbował później...

- Głos męski? Kobięcy?

- I to, i to... On albo ona... powtarzał, że to szalenie ważne, sprawa życia lub śmierci...

Maigret, nareszcie odprężony, zasiadł do stołu przy otwartym oknie...

### Rozdział 3

Dopiero około dziewiętej w mieszkaniu rozległ się dzwonek telefonu i Maigret rzucił się do aparatu, wyłączając po drodze telewizor.

- Halo! Komisarz Maigret?

Usłyszał wreszcie ów sławetny głos.

- Pan mnie nie zna, ale ja pana znam. Wiem, jak pan wygląda. Dziś po południu odwiedzał pan Line Marcia, potem poszedł pan do "Sardine"...

Mówiono mu, że ten głos mógł być równie dobrze męski jak i kobiecy. Według niego należał raczej do chłopaka przechodzącego mutację; mimo woli nasunęło mu się określenie, które nic nie znaczyło: głos dziadka do orzechów. Ton bez przerwy się zmieniał: z niskiego w wysoki, z wysokiego w niski.

- Kto mówi?

- Moje nazwisko nic panu nie powie. Inspektor Louis też nie wie, jak się nazywam, a przecież od lat dzwonię do niego co jakiś czas... Nie udało mi się dzisiaj go złapać ani w biurze, ani w domu. Dlatego telefonuję do pana... Proszę mi powiedzieć, kiedy go pan aresztuje?

- Kogo?

- Przecież wie pan tak samo jak ja... Mori, Manuela Mori, tego starszego...

Maigret usłyszał brzęk wrzucanych monet. Nieznajomy dzwonił z automatu.

- Panie komisarzu, sprawa jest pilna... Dla mnie to kwestia życia lub śmierci... Kazał pan swoim inspektorom deptać po piętach obu braciom... Od razu rozpoznałem pana ludzi... Bracia Mori to fachowcy i na pewno też ich rozpoznali... Wiedzą więc, że ktoś sypanął, a oni mnie znają. Z pewnością pomyślą o mnie... Proszę pana, niech pan aresztuje przynajmniej Manuela... On jest bardziej niebezpieczny... To on strzelił do pana Maurice'a...

- Dlaczego?

Po drugiej stronie zaległa nagle cisza i Maigret zmarszczył brwi. Czekał długo, ale telefon milczał. Tym razem nie było słyhać wrzucanych monet, tylko ciszę, niepokojącą ciszę.

- Powiedział ci, kim jest? - zapytała pani Maigret.

- Nie. On dużo wie i grozi mu niebezpieczeństwo...

W końcu położył się spać ponury, niespokojny. Nie miał żadnych możliwości, by chronić człowieka, którego nie znał ani z nazwiska, ani z wyglądu.

Kiedy następnego dnia rano - było już ciepło - wszedł do gmachu na Quai des Orfvres, zauważył inspektora Louis, który oczekiwał go na jednej z ławek stojących wzdłuż korytarza.

- Pan do mnie?

- Tak, panie komisarzu...

- Miał pan wiadomości od swojego informatora ochotnika?

- Tak. Dzwonił do mnie późnym wieczorem... Rozmowę z panem przerwał dlatego, że przez szybę kabiny zauważył kogoś znajomego i wolał, żeby ten ktoś go nie widział. Zapowiedział mi też, że dopóki bracia Mori pozostaną na wolności, nie odezwie się... Będzie się ukrywał...

- Uważa pan, że naprawdę grozi mu niebezpieczeństwo?

- Tak. Inaczej nie mówiłby o tym.

- Co gadają ludzie na Montmartrze?

- Że jeden z nich musiał swoje zainkasować, Manuel albo pan Maurice... Obaj byli uzbrojeni... Przypuszczam, że Mori okazał się szybszy.

- A powód tej zbrodni?

- Kiedy napomknąłem o tym tu i ówdzie, ludzie tylko się uśmiechali...

- Sądzi pan, że Mori jest kochankiem Line Marcii?

- Myślałem o tym. Jeżeli to prawda, ryzykowała nie tylko majątek, ale

prawdopodobnie i życie...

- Był pan dziś rano na ulicy Ballu?
- Na drzwiach wisi już czarna krepa, dużo ludzi wchodzi i wychodzi.
- Rozpoznał ich pan?
- Są różni... Drobni kupcy... Właściciele restauracji, fordanserki z nocnych

lokali... Sutenerzy...

- Chciałbym ich sam zobaczyć.

Zawołał Janviera i poprosił, żeby uruchomił jeden z samochodów na dziedzińcu.

- Niech pan pojedzie ze mną, panie Louis... Pan zna tych ludzi lepiej niż ja...

Na ulicy Ballu stały małe grupki gapiów, jakby pogrzeb miał się odbyć dzisiaj. Dramatyczna śmierć pana Maurice'a była dla całego Montmartre'u wydarzeniem, o którym rozmawiano szeptem.

- Wejdzmy...

Na schodach panowała cisza. Drzwi do mieszkania na pierwszym piętrze były uchylone. W holu unosił się zapach świec i chryzantem. Kwiatów i wieńców przywieziono tyle, że ledwo się mieściły w obszernym salonie - rośliny doniczkowe wcale nie były potrzebne.

Line, cała w żalobie, stojąc przy drzwiach skłaniała głowę przed każdym gościem i ścisnęła wyciągnięte dłonie. Twarz miała zastygłą, nieprzeniknioną. Kiedy poznała Maigreta, zrobiła pogardliwy grymas, jakby miała mu za złe, że przychodząc tu okazał brak szacunku w obliczu śmierci.

- Szczere wyrazy współczucia - wymamrotał.
- Obejdzcie się.

Trumny jeszcze nie zamknięto i widać było Maurice'a Marcię we fraku, ze spokojną twarzą, z jakby ironicznym uśmiechem na wargach. Salon, obity czarną tapetą w srebrzyste wzory, oświetlony był tuzinem świec, których woń rozchodziła się w całym domu. Goście stali chwilę w skupieniu patrząc na nieboszczyka wystrojonego jak na uroczystą ceremonię.

- Poznaje pan kogoś? - wyszeptał Maigret.
- Jeden czy dwóch sutenerów... Szef "Sans-Gene" z żoną, która razem z nim prowadzi interes...

- Myśli pan, że to potrwa cały dzień?
- Z pewnością. A jutro w kościele Notre-Dame-de-Lorette będzie ścisk.

Długo stali w tłumie na chodniku po drugiej stronie ulicy przypatrując się wchodzącym i wychodzącym.

- O, są...

Na rogu ulicy zatrzymał się czerwony jaguar, wysiedli z niego dwaj bardzo jeszcze młodzi mężczyźni. Obaj eleganccy, przystojni, o nieco wyzywającym spojrzeniu. Wiedzieli, że są tu znani. Szli środkiem ulicy kłaniając się dyskretnie na prawo i lewo. Kiedy starszy zauważył Maigreta, przez sekundę się zawahał, po czym skierował się w jego stronę.

- Zadaje pan sobie wiele trudu, komisarzy, każąc śledzić mnie i mojego brata. Mógłbym panu zaoszczędzić tej roboty dostarczając panu mój rozkład zajęć... Dziś po południu na przykład będę z Jo na ulicy du Caire, bo mamy dużą dostawę... Jutro po mszy pojedę do Bandol... Co do pana, Louis, możesz pan w dalszym ciągu węszyć wszędzie i słuchać plotek... Marcia zasłużył na więcej...

Pozornie zadowolony z siebie zbliżył się do brata i razem weszli do domu.

- Mógł się pan przekonać, co to za typ - mruknął inspektor Louis. - Młody wilk z ostrymi zębami, który uważa się za inteligentniejszego od wszystkich...

- Chciałbym przesłuchać jego dozorczynię...

- Ona dyżuruje tylko w dzień... W nocy na łóżku polowym w służbówce sypia jej mąż... Nazywa się Victor, jest znany w dzielnicy... To nałogowy pijak, całe dnie włóczy się od bistra do bistra...

- Można by go gdzieś dorwać?

- Spróbujemy... Trzeba zacząć od skweru La Bruyere i placu SaintGeorges.

W każdym bistro inspektor Louis wypijał Vichy z sokiem truskawkowym. Maigret natomiast zadowolili się na wstępie dwiema szklankami piwa.

- Nie widzieliście Victora?

- Był tu pół godziny temu; pewnie zaczął dopiero swój obchód, bo jeszcze był trzeźwy.

Dopadli go wreszcie w szóstym z kolei bistro, gdy miał już porządnie w czubie.

- Patrzcie no! Inspektor Louis... Buteleczka Vichy dla inspektora! A pan, wielki grubasie?

Był to oberwaniec, taki, jakich spotyka się pod mostami. Koszulę na piersi miał rozpiętą, jedna kieszeń, odpruta, zwisała.

- Założę się, że przyszlście do mnie... Kto to jest ten facet? Lekarz?

- Dlaczego miałyby się panem zajmować lekarz?
- To nie pierwszy raz. Próbowali mnie zamknąć, a ja jestem najłagodniejszą istotą na świecie - roześmiał się ubawiony.
- To komisarz Maigret...
- Słyszałem już to nazwisko... Czego on chce ode mnie, ten komisarz Maigret?
- Pan śpi w służbówce w nocy, prawda?
- Odkąd moja stara się rozchorowała i lekarze kazali jej wypoczywać...
- Ilu lokatorów jest w domu?
- Tego nigdy nie policzyłem... Dwa mieszkania na piętrze, przeciętnie trzy osoby w jednym mieszkaniu... Policzcie sobie sami... Już dawno jestem na bakier z rachunkami...
- Zna pan dobrze Manuela Mori?
- Mógłbym powiedzieć, że to kumpel...
- Dlaczego?
- Bo czasem jak wraca, podrzuca mi buteleczkę. Inni to nigdy nie pomyślą, że może mi się chcieć pić...
- Zwykle wraca późno?
- Zależy, co pan nazywa późno... Jeszcze jeden, Gaston...  
Tanie czerwone wino sływało mu po nie ogolonej brodzie.
- O północy?
- Co o północy?
- Wracał o północy?
- Albo koło piątej rano... Zależy kiedy... Jak jego cizia przychodziła do niego...
- To znaczy, że wracał z kobietami?
- Nie, proszę pana. Nie z kobietami. Z jedną kobietą.
- Czyli zawsze z tą samą?
- Czyli zawsze z tą samą, dokładnie tak.
- Wysoka?
- Nie tak wysoka jak on, ale wyższa ode mnie.
- Szczupła? Blondynka?
- A dlaczego nie miałyby być szczupłą i blondynką?
- Spędzała z nim całą noc?
- Wcale nie. Nie zgadł pan. Nigdy nie zostawała dłużej niż godzinę, dwie...
- Zna pan jej nazwisko?

- Ja nie jestem z policji. A pan, zna pan chociaż moje nazwisko?

- Victor...

- Victor jaki? Myśli pan, że nie mam nazwiska jak wszyscy? No więc nazywam się Macoulet, tak jak mój ojciec i matka, urodziłem się koło Arras... Co pan na to?

- Butelkę dawał panu, jak wracał razem z nią?

- Coś takiego! Nie pomyślałem o tym... Możliwe... Ostatnim razem rzeczywiście tak było...

- Kiedy był ten ostatni raz?

- Wczoraj?... Nie... Przedwczoraj. Tracę trochę poczucie czasu, bo wszystkie dni i wszystkie noce są takie same... To było tej nocy, kiedy lokatorzy z pierwszego piętra wydawali party, jak to oni mówią... Sufit trząsał mi się nad głową i bez przerwy odkorkowywali szampana.

- Na którym piętrze mieszka Manuel Mori?

- Na trzecim... Ma piękne mieszkanie, mówię wam... Mebli nie kupował z przeceny ani w domach towarowych... Na przykład sypialnia jest cała obita żółtym jedwabiem... Co pan na to?

- Przyszedł razem z nią?

- On zawsze przychodzi razem z nią... Nie wiem, czy się boi, że ktoś mu ją gwizdnie...

- Nikt nie przychodził tej nocy, kiedy Mori i jego przyjaciółka byli na górze?

- Niech pomyślę... Ale się chce pić od tego myślenia! Jakby mi pan postawił butelkę...

Maigret dał znak knajpiarzowi w niebieskim fartuchu.

- Ja, wie pan, nie widzę ludzi, którzy wchodzą. Dzwonią do bramy, ale nie zawsze się budzę... Tylko nie trzeba tego opowiadać administratorowi, bo on jest świnia... Dobra... Ludzie wchodzą i mówią nazwisko, kiedy mijają drzwi... Tamtej nocy facet, bo był sam, powiedział: "Mori"... Pomyślałem: "Ciekawe... Przed chwilą wracał ze swoją cizią". Ale mógł wyjść, żeby kupić butelkę... Albo to nie był on, tylko jego brat... Bo ich jest dwóch... Wie pan, że ich jest dwóch? Nacisnął guzik od światła i poszedł na górę...

- Poszedł schodami czy pojechał windą?

- Tego to nie wiem. Zasnąłem.

- Nie widział go pan, jak wychodził?



- Jak się wychodzi, to drzwi otwierają się od środka...

- Nikt nie hałasował?

- Jeszcze jak! Ta banda, która urządziła popijawę na pierwszym...Wszyscy byli pod gazem... Nawet kobiety... piszczały na schodach...

- Wstał pan, żeby ich zobaczyć?

- Nie. Usłyszałem, że drzwi się zamknęły, więc już się tym nie zajmowałem.

- A ta przyjaciółeczka?

- Jaka przyjaciółeczka? Ma pan jedną wadę, komisarzy. Mówi pan o wszystkich naraz. Chodzi panu o ludzi z pierwszego piętra czy o Moriego?

- O Manuela Mori i jego kochankę.

- Dobra. To już jaśniej, chociaż zapomniał pan o bracie...

- Wszedł sam?

- Brat? Nie wiem nawet, czy to był brat...

- Jeszcze jedno piwo - zamówił Maigret. Czoło miał zroszone potem. -  
Dobrze. Powiedzmy: gość.

- Nie słyszałem, żeby przechodził koło służbówki.

- A cizia?

- Jakby pan ją znał, nie mówiłby pan cizia. To prawdziwa dama.

- No więc ta dama?

- Była na górze najwyżej pół godziny.

- Widział pan, jak wychodziła?

- Nie. Jeszcze raz nie. Jakbym miał wstawać, żeby zobaczyć wszystkich, którzy wychodzą, nie warto by było kłaść się do łóżka...

- Dalej. Czy Mori nie zszedł potem z jakimś ciężkim pakunkiem?

- Przepraszam. Nie widziałem. Ani Moriego, ani pakunku. Ale słyszałem odjeżdżający samochód.

- Samochód Moriego?

- Tak. Mały czerwony wóz, bardzo szybki, robi dużo hałasu, jak rusza.

- A potem o której wrócił?

- Nie wiem. Ale kiedy przechodząc powiedział swoje nazwisko, pomyślałem sobie, że ci z trzeciego przesadzają... Chyba że chodziło o butelkę...

- Była druga butelka?

- Nie. Ale pierwsza to nie był czerwony sikacz taki jak ten. To był koniak...

- Dziękuję, Victor - rzucił Maigret płacąc rachunek.

Na ulicy komisarz mruknął:

- Zdaje się, że pański informator...

- Jak to, mój informator?

- Ten, co do pana dzwoni od czasu do czasu, żeby dać panu cynk.

- Nigdy go o to nie prosiłem... Nie znam go...

- Szkoda, bo wydaje się dobrze poinformowany. Po tym, co usłyszałem, zaczynam rozumieć, że się boi. Myśli pan, że Mori są zdolni go zlikwidować?

- Albo każą go zlikwidować. Uważam, że są zdolni do wszystkiego.

- Zastanawiam się, czy nie poproszę sędziego śledczego o nakaz aresztowania ich...

- Obu?

- Jeśli młodszy jest tak samo niebezpieczny jak Manuel...

- Co mam robić?

- Niech pan dalej zbiera informacje. W dzielnicy aż się gotuje. Ludzie na pewno dużo gadają, dzielą się podejrzeniami...

- Dzisiaj ich pan aresztuje?

- Najpierw pójdę do nich na ulicę du Caire...

A jednak Maigret poszedł najpierw do gabinetu sędziego śledczego. Sędzia nazywał się Bouteille. Był to pięćdziesięcioletni mężczyzna; Maigret znał go dawno.

- Już mi pan dostarcza mordercę?

- Niezupełnie... Ale zaczynam sobie wyrabiać dokładniejszy pogląd na całą sprawę...

Maigret opowiedział sędziemu, co już wie. Siedząc naprzeciw siebie obaj palili fajki. Kiedy komisarz skończył, sędzia mruknął pod nosem:

- Mało obciążające te dowody...

- Chciałbym iść do nich mając w kieszeni nakaz aresztowania... I nakaz rewizji.

- Dla obu braci?

- Tak byłoby lepiej. Nie wiem, gdzie ukrywa się informator. Zdaje się, że Jo jest tak samo niebezpieczny jak Manuel...

Sędzia Bouteille odwrócił się do swojego aplikanta.

- Proszę zatem wypisać dwa nakazy aresztowania na nazwisko braci Mori, Manuela i Josepha...

Maigret podał adresy. Sędzia odprowadził go do drzwi.

- Ta sprawa narobi hałasu...
- Już narobiła...
- Wiem... Czytałem gazety...

W jednej z nich, w tytule, zapytywano wprost: "Czy Maurice Marcia stał na czele gangu i został zabity przez konkurencję?"

W innej nawiązywano do różnych drobnych tajemnic Pigalle'u i roli policji, która zbyt często przymyka oczy.

"Śledztwo będzie zapewne trudne i kto wie, czy kiedykolwiek poznamy całą prawdę. Jutrzejszy pogrzeb zapowiada się bardzo tłumnie, bo właściciel Sardine miał przyjaciół nie tylko w swojej dzielnicy, ale prawie w całym Paryżu. Oczywiście nie wszyscy przyjdą... Komisarz Maigret odmawia wszelkich wyjaśnień. W obecnym stanie rzeczy nie wiadomo nawet, czy pojedzie jutro do Bandol. Powtarza jedynie: Śledztwo w toku".

Było to na obrzeżach Hal, gdzie nie zaczęto jeszcze burzyć pawilonów, ale ustał już wszelki handel, który przeniósł się do Rungis. Ulica du Caire była jedną z wielu ulic, na której znajdowały się hurtownie, magazyny, a jednocześnie domy publiczne i obskurne bistra. Za rok wszystko to będzie prawdopodobnie stertą gruzów.

Kiedy Maigret wysiadł z taksówki, zauważył dwóch inspektorów, spacerujących tam i z powrotem po chodniku. Przez moment zastanawiał się, dlaczego jest ich dwóch, potem zrozumiał. Jeden pilnował Manuela Mori, drugi jego brata Jo.

- Czy wiecie, chłopcy, że oni już was zwęszyli?

- Dlatego się nie chowamy. Starszy podszedł do mnie spokojnie, wypuścił mi dym z papierosa prosto w twarz, zupełnie jak na filmie, i powiedział: "Nie warto bawić się w chowanego, kochasiu. Wiem, że tu jesteś, i nie będę próbował cię zgubić"...

Magazyn był wielkim pustym pomieszczeniem, bez witryny, wieczorem zamykano go na opuszczaną żelazną kratę. Pośrodku stała ciężarówka, z której wyładowywano towar. Mężczyzna w szarej bluzie znajdujący się wewnątrz wozu podawał skrzynie z owocami koledze, który łapał je w locie i ustawiał wzdłuż ściany.

Jo Mori z rękami w kieszeniach, z papierosem w ustach przyglądał się wyładunkowi z odległości kilku metrów, wyraźnie myśląc o czym innym. Nie zmarszczył brwi zobaczywszy Maigreta i nie ruszył się z miejsca. W prawym rogu

magazynu, tuż przy ulicy, za oszklonym przepierzeniem widać było Manuela, który w kapeluszu zsuniętym do tyłu przeglądał plik rachunków. Niewątpliwie on również zauważył komisarza, ale nie oderwał się od swojej roboty.

Maigret pchnął drzwi do biura, przysunął sobie jedyne wolne krzesło, usiadł na nim i zaczął nabijać fajkę.

Pierwszy nie wytrzymał Manuel.

- Spodziewałem się pana... - mruknął.

Maigret nadal milczał.

- Dzwoniłem zresztą przed chwilą do mojego adwokata. On też uważa, że pan za dużo mówi, i pan, i ten inspektor w żałobie, który od wieków kręci się po Montmartrze. I pan, i on zadajecie za dużo pytań zbyt wielu ludziom...

Maigret w skupieniu palił fajkę i zdawał się nie zwracać uwagi na swojego rozmówcę.

- Podchwytliwe pytania mogą niekiedy zaszkodzić nie mniej niż jawne oskarżenia, a wtedy mamy do czynienia z oszczerstwem... Ja i mój brat gwizdźmy na to, ale wy się czepiacie innych. A co do Pchły, to jak się będzie mieszał do nie swoich spraw, może tego gorzko pożałować...

I oto od jednego z braci Mori Maigret dowiedział się w końcu, wcale go o to nie pytając, kim jest człowiek, który dość regularnie telefonuje do inspektora Louis i przekazuje mu informacje.

- Gdzie pan był przedwczoraj o wpół do pierwszej w nocy?

- W domu.

- Nie. Był pan tam pół godziny wcześniej i to nie sam.

- Mam prawo przyjmować, kogo chcę.

- Ale nie zabijać ludzi, którzy do pana przychodzą.

- Nikogo nie zabiłem.

- I zapewne nie posiada pan żadnej broni palnej, nawet rewolweru kaliber 32.

- Do czego miałbym go używać?

- Tamtej nocy zrobił pan z niego użytek. Co prawda może pan zawsze twierdzić, że działał pan w obronie własnej...

- Nie mam się przed kim bronić...

- Chciałbym obejrzeć pana mieszkanie.

- Proszę iść po nakaz do sędziego śledczego.

Maigret wyjął z kieszeni nakaz rewizji i podał go Manuelowi wraz z dwoma

nakazami aresztowania. Było oczywiste, że Mori nie spodziewał się tego, zachnął się, podskoczył, strącając popiół z papierosa na kurtkę.

- Co to ma znaczyć?

- To, co zazwyczaj znaczą takie dokumenty.

- Chce mnie pan zamknąć?

- Na razie nic nie wiem. To prawdopodobne. Nadal odmawia pan pokazania mi swojego mieszkania?

Mori wstał, próbował odzyskać arogancję. Uchylił drzwi.

- Jo, chodź tu na chwilę...

Brat rzucił kurtkę i podwinął rękawy białej koszuli.

- Widziałeś już kiedyś takie papierki, co? Jeden dla ciebie, jeden dla mnie i jeszcze jeden dla nas obu, nakaz rewizji. Nie chowasz przypadkiem trupa w szafie?

Młodszy z braci Mori nie dowcipkował, z uwagą czytał nakazy.

- I co dalej? - zapytał.

Nie wiadomo, czy zwracał się do brata, czy do Maigreta.

- Dalej... Jak skończę u pańskiego brata, to przyjdę do pana do hotelu, a pan będzie już tam na mnie czekał...

- Ma pan samochód? - spytał Manuel.

- Taksówkę.

- Nie woli pan, żebym ja pana podwiózł?

- Nie. Ale proszę, żeby pan jechał za moją taksówką nie próbując jej wyprzedzić.

Maigret wziął po drodze inspektora, który miał śledzić Manuela.

- Gdzie jedziemy?

- Do niego, na skwer La Bruyere.

- On jedzie za nami.

- Właśnie tak, jak mu kazałem.

Było to dwa kroki od ulicy Fontaine. Mieszkanie państwa Marcia na ulicy Ballu znajdowało się z kolei dwa kroki od restauracji. Zaledwie o pięć minut drogi stamtąd, w Htel des Iles na avenue Trudaine mieszkał Jo.

- Jutro go chowają, prawda?

- Najpierw są uroczystości żałobne, potem przewiozą go do Bandol, gdzie zostanie pochowany.

Sześciopiętrowy budynek wyglądał okazale i nowocześnie.

- Co mam robić? Wejść z panem?

- Wolę, żeby zaczekał pan na dole...

Czerwony jaguar zatrzymał się za taksówką.

- Zaprowadzę pana...

Przeszli obok służbówki, za szybą poruszyła się firanka.

- To na trzecim.

- Wiem...

- Pojedzie pan windą razem ze mną?

- Oczywiście.

- Nie boi się pan? Jestem młodszy i silniejszy...

Maigret spojrzał tylko na niego tak, jak się patrzy na dziecko, które się przechwala. Manuel wyjął z kieszeni klucz, otworzył drzwi i przepuścił komisarza przed sobą.

- Widzi pan, nie ma służby. Codziennie przychodzi tu kobieta do sprzątnia, ale dopiero po południu, bo o tej porze często jeszcze śpię.

Salon nie był duży, zwłaszcza w porównaniu z salonem na ulicy Ballu, ale umeblowanie miał równie kosztowne. Z salonu prowadziły drzwi do jadalni. Wisząca tam martwa natura Chardina przedstawiająca bażanty w koszyku wydała się Maigretowi autentyczna.

- Chardin?

- Chyba tak.

- Lubi pan malarstwo?

- Owszem. Jak ktoś sprzedaje pomidory i owoce, to niekoniecznie musi być niewrażliwy na sztukę... - Jego głos brzmiał szyderczo.

W sypialni łóżko było nie pościelone. Ta sypialnia była jedynym pokojem urządzonym nowocześnie, bardzo widnym, bardzo wesołym. Wchodziło się z niej do łazienki, na tyle obszernej, że na środku wisiał worek treningowy.

- Koniec zwiedzania. Wszystko już pan zobaczył.

- Jeszcze nie. W sypialni czegoś brakuje.

- Czego?

- Na środku leżał niewielki dywan, po którym została ta jasna plama na mokiecie.

Maigret pochylił się.

- Poza tym na powierzchni mokietu widać jeszcze kolorowe nitki, pochodzące

prawdopodobnie z dywanu, który zniknął.

- Niech pan go poszuka.
- Nie będę się ośmieszał. Pan pozwoli?

Podniósł słuchawkę telefonu i poprosił o połączenie z Wydziałem Kryminalnym, potem z laboratorium.

- To pan, Moers? Tu Maigret. Chciałbym, żeby pan przyszedł z kilkoma ludźmi na skwer La Bruyere... W bramie zastanie pan jednego z naszych inspektorów... Proszę wejść na trzecie piętro... Czego szukam? Czegokolwiek.

Tym razem Manuel stracił tupet.

- Poprzewracają mi wszystko w mieszkaniu.
- Najprawdopodobniej...
- Mogę panu od razu powiedzieć, że ten dywan, o którym pan mówi, w ogóle nie istniał.

- No to dowiemy się, skąd się wzięły te żółte, zielone i czerwone nitki...

- To z płaszcza jednej z moich przyjaciółek, która...

- Nie. Pani Marcia, Line, jeśli pan woli, to kobieta elegancka, ma dobry gust i nigdy by nie włożyła płaszcza z taką mieszaniną kolorów.

- Mój adwokat chyba ma prawo być obecny podczas rewizji?

- Co do mnie, nie widzę przeszkód.

Teraz Manuel chwycił za słuchawkę.

- Halo! Czy mógłbym zamienić parę słów z mecenasem Garcin? Tu Manuel Mori... Mam bardzo pilną sprawę...

Zaczął się gorączkować.

- Garcin? Słuchaj, stary, dzwonię z domu. Komisarz ma nakaz rewizji. Znalazł na mokiocie nitki, które mu się nie podobają. Od razu wezwał ludzi z brygady śledczej. Nie zechciałbyś przyjechać?... Co mówisz? Mam im pozwolić przeszukać meble i szuflady?... To nie wszystko. On ma nakaz aresztowania na nazwisko mojego brata i drugi na moje... Nie... Powiedział, że nie wie jeszcze, czy z tego skorzysta... Słuchaj... Jeśli nie zadzwonię, powiedzmy do czwartej po południu, zrób wszystko, co trzeba, żeby nas wypuścili... Nie mam ochoty spędzać nocy w Souricire... Nie mówiąc już o tym, że jutro jest pogrzeb i mam zamiar pojechać do Bandol... Ona czuje się dobrze, tak... Dziękuję, stary... Do zobaczenia...

Rozmowa z adwokatem trochę go podniosła na duchu. Był zaskoczony, kiedy usłyszał od Maigreta:

- Gdyby mi pan powiedział, że jedzie pan do Bandol...

- Co by to zmieniło?

- Nie brałbym nakazów na dzisiaj. Nie pomyślałem o Line, pewnie będzie pana potrzebowała.

- Co mi pan tu insynuuje?...

- To, o czym wiedzą wszyscy na Pigalle. Nie ma pan już dwóch czy trzech dziewczynek na tydzień jak dawniej.

- Moje życie prywatne to moja sprawa...

- Rzeczywiście ma pan prawo spać z żoną przyjaciela, ale nie ma pan prawa ładować mu kuli w pierś...

Rozległ się dzwonek. Moersowi towarzyszyło dwóch ludzi z walizkami.

- Tędy... Do sypialni... Nie musicie się głowić, co leżało na tej jaśniejszej plamie...

- Oczywiście dywan...

- Na mokiocie zostały z niego nitki... Chciałbym, żeby je pozbierano i poddano analizie... W ogóle całe mieszkanie wymaga dokładnego przeszukania... Interesowałyby mnie na przykład plany domów lub zamków albo korespondencja z antykwariuszami zagranicznymi, albo z handlarzami obrazów...

Tym razem Mori osłupiał i nie starał się tego ukryć.

- Co to za nowa historia?

- Na razie to tylko luźna myśl, ale może coś z tego wyniknie... Nie będę panu przeszkadzał w pracy, Moers. Mam co innego na głowie. I w tamtej sprawie też będę pana potrzebował...

Odwrócił się do Manuela:

- Panu także nie będę przeszkadzał. Do czasu nowych dyspozycji jest pan wolny, ale nie może pan opuszczać miasta...

- A Bandol?

- Powiem panu jutro rano...

- Mogę zatelefonować do Line?

- Więc pan przyznaje...

Manuel wzruszył ramionami.

- Wie pan już tyle, że nie warto zaprzeczać. Tym bardziej, że nie zrobiliśmy nic złego...



- Oby...

W kilka minut później Maigret wszedł do Htel des Iles; nie był to hotel luksusowy, ale dość wygodny, czysty jak rzadko który i zamieszkaany prawdopodobnie przez stałych gości. Skierował się do recepcji.

- Ja do pana Jo Mori...

Z drugiej strony kontuaru patrzyła na niego uśmiechnięta dziewczyna.

- Drugie piętro. Pokój 22, panie Maigret.

- Powiedział pani, że mnie oczekuje?

- Nie. Powiedział, że czeka na kogoś. Ale poznałam pana, jak tylko stanął pan w drzwiach...

Maigret pojechał windą i zapukał pod numer 22; natychmiast mu otworzono. Był to Jo, który opuścił ulicę du Caire, żeby być u siebie, kiedy przyjedzie komisarz.

- Co pan zrobił z moim bratem?

- Zostawiłem go w domu. Co prawda z ludźmi z ekipy śledczej, którzy przeprowadzają szczegółowe oględziny.

- Nie aresztował go pan?

- Line będzie go jutro potrzebować... Ma pojechać do Bandol... A pan?

- Nie miałem zamiaru tam jechać. O jakiej Line pan mówi?

- Niech pan da spokój... To już stara historia. Pański brat przyznał, że jest jej kochankiem...

- Nie wierzę panu.

Byli w małym salonie o perłowszarych ścianach, trochę staromodnym, niemniej dość przytulnym. Jo po chwili wahania wyciągnął rękę w stronę aparatu telefonicznego; nakręcił numer brata. Maigret z rękami założonymi do tyłu rozglądał się wokół, otworzył pierwsze z brzegu drzwi i znalazł się twarzą w twarz z młodą kobietą, która miała na sobie tylko nie dopięty peniuar.

- Pani jest zapewne kochanką Jo. Pytanie jest śmieszne, skoro zastaję panią w jego sypialni koło nie pościelonego łóżka, a na fotelu leży pani ubranie.

- Czy to coś złego?

- Ale skąd. Ile pani ma lat?

- Dwadzieścia dwa...

Usłyszał za sobą głos Jo.

- Jest już z nią... Nie zdążyłem... Ale ty? To prawda, że pozwala ci jechać do Bandol i że powiedziałaś mu o Line?... Mogłeś mnie uprzedzić... Nie wiem... Właśnie

rozmawia z nią w sypialni... Znasz ją... Może mówić godzinami... Cóż, niestety nie trafiłem na taką głuchoniemą, która by mi odpowiadała...

Szybko odłożył słuchawkę i ukazał się w drzwiach do sypialni.

Dziewczyna mówiła:

- Nazywam się Marcelle... Marcelle Vanier... Pochodzę z Bziers, ale gdy tylko mogłam, przyjechałam do Paryża...

- Od jak dawna jest pani z Jo?

- Miesiąc, ale nie mam złudzeń. Wątpię, czy będę tu jeszcze przez następny miesiąc...

- Zapnij peniuar... - odezwał się oschłym głosem młody człowiek.

I odwrócił się do Maigreta:

- Gdyby mi pan powiedział, czego pan właściwie szuka, zaoszczędzilibyśmy może trochę czasu... Wie pan, że muszę wyładować ciężarówkę, a potem powinienem dostarczyć towar...

Jakby tego nie słysząc, komisarz nie przerywał swojej rozmowy z Marcelle:

- Gdzie pani była przedostatniej nocy?

- Od której godziny?

- Od jedenastej...

- Poszliśmy z Jo do kina... Zaraz potem wróciliśmy, bo on był zmęczony...

- O której odebrał telefon?

Otworzyła usta, zamknęła je, spojrzała pytająco na Jo.

- Nie ma w tym nic złego - rzekł Jo. - Dzwonił mój brat i powiedział, że ma zamiar w najbliższych dniach przejechać się na prowincję...

- Do Bandol? - spytał ironicznie komisarz.

- Do Bandol czy gdzie indziej. Tego mi nie powiedział.

- Jeśli mówił o Bandol, to miał przecucie, bo Maurice jeszcze żył...

- Ja tam nic nie wiem.

- Pisały o tym wczoraj gazety, podawali godzinę zgonu... Około wpół do pierwszej...

- Możliwe, ale to mnie nie interesuje...

- Pan nie ma tu obrazów?

- Jakich obrazów?

- Nie wiem. W tej sprawie występuje sporo miłośników malarstwa.

- Ja do nich nie należę.

- A te meble są oczywiście meblami hotelowymi.
- A jakie miałyby być?
- Czy tutaj przechowuje pan rachunki i dokumenty firmowe?
- W biurze na ulicy du Caire, ma się rozumieć.
- Pani pracuje, panno Marcelle?
- Chwilowo nie.
- Co pani robiła, zanim spotkała pani tego chłopca?
- Byłam barmanką w lokalu przy ulicy Ponthieu... Może źle zrobiłam, że przestałam tam pracować.
- Też tak myślę.
- Co mi pan radzi?
- No, no, uważaj pan - wtrącił się Jo zaciskając pięści.
- Spokojnie, mój mały... Nie zatrzymam pana dzisiaj. Niech pan korzysta z życia. Ale niech panu nie przyjdzie do głowy, żeby opuszczać Paryż... Ach! Jeszcze jedna rada: żebyście palcem nie tknęli Pchły, jak go spotkacie... Mogłoby to was drogo kosztować...

I Maigret, schodząc już, zaczął nabijać sobie fajkę. Zapomniał o dziewczynie z recepcji i zdziwił się, kiedy usłyszał młody wesoły głos:

- Do widzenia, panie Maigret.

#### Rozdział 4

Zaraz po powrocie na Quai des Orfevres Maigret wezwał do siebie Janviera.

- Nic nowego w sprawie Marcii?
- Dzwonił tylko inspektor Louis, chciał z panem rozmawiać.
- Jest u siebie w komisariacie?
- Nie. O wpół do pierwszej będzie w restauracji "Rhne" na bulwarze Clichy.
- Idziemy coś zjeść?
- Chętnie. I tak miałem pójść do knajpy, bo moja żona jest dzisiaj u swojej matki.

Komisarz zadzwonił do domu.

- Mam dużo pracy i nie wrócę na obiad... Pani Maigret przewidziała to.

Zawsze, kiedy śledztwo dochodziło do pewnego punktu, jej mąż odczuwał potrzebę, żeby pójść jakby na wagary, to znaczy zjeść obiad z jednym ze swych współpracowników w "Brasserie Dauphine". Był to sposób na pozostawanie w tej samej atmosferze.

Poszli zatem wolnym krokiem do piwiarni, przystanęli przed kontuarem, przy którym było już kilku ludzi z Quai des Orfevres.

- Dla odmiany - bąknął Maigret - wezmę kieliszek anyżówki...

Rzadko mu się to zdarzało. Odkąd jego stary przyjaciel Pardon przestrzegł go, pił dużo mniej niż dawniej, za to nieraz bardzo długo trzymał w ustach wygasłą fajkę.

- Nie wiesz, czego chce ode mnie Louis?

- Zna go pan, on zawsze robi tajemniczą minę...

- To zadziwiający człowiek, ale nie mógłby należeć do naszej brygady. On musi pracować sam...

Podszedł właściciel, żeby im ucisnąć ręce. Był już całkiem łysy, ale ponieważ tracił włosy stopniowo, przez tyle lat nikt jakoś tego nie spostrzegł.

- Co jest na obiad?

- Kiełbaski... Ale jeśli wolicie stek...

- Dla mnie kiełbaski - uciął Maigret.

- I dla mnie - powtórzył jak echo Janvier.

Przeszli do sali restauracyjnej, gdzie zajęte były tylko cztery stoliki, z czego dwa przez adwokatów. Sami swoi. Maigret miał tu swój kącik koło okna, przez które widział Sekwanę i płynące po niej statki. Ze swego gabinetu również przyglądał się płynącym statkom i to od przeszło trzydziestu lat. Ale wcale go ten widok nie nudził.

- Bądź tak dobry i jak wrócisz do biura, zatelefonuj na Orly. Chciałbym zarezerwować miejsce na samolot do Marsylii na jutro. Najlepiej w połowie dnia.

- Jedzie pan do Bandol?

- Tak. Oczywiście nieoficjalnie, bo to nie nasz rejon.

- Będzie na pewno jakiś samolot Air Inter...

- Jest teraz w pół do pierwszej. Mógłbyś zadzwonić do inspektora Louis i poprosić go, żeby zaraz po obiedzie przyszedł do mnie do biura?

Już kwadrans po pierwszej Wdowiec siedział naprzeciw komisarza; liście drzew szeleściły za otwartym oknem. Maigret zrzucił marynarkę. Louis był jak

zwykle w czerni nie wyłączając krawata.

- Dziś rano miałem telefon od przyjaciółki mojego anonimowego konfidenta...

Maigret nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Nie podała swojego nazwiska. Niepokoi się, bo jej przyjaciel od czterdziestu ośmiu godzin nie daje znaku życia...

Maigret czekał cierpliwie na ciąg dalszy.

- Jeszcze jedna niejasna wiadomość... Co najmniej trzech czy czterech opryszków postanowiło nagle opuścić Montmartre i tak się składa, że są to kumple braci Mori...

- Ja też mam panu coś do zakomunikowania, inspektorze. Wiem, kto jest pańskim anonimowym rozmówcą...

Twarz Louisa poczerwieniała. Wydawało mu się niemożliwe, żeby komisarz w ciągu dwudziestu czterech godzin zdołał zidentyfikować człowieka, którego on nie mógł rozszyfrować w ciągu kilku lat.

- Kto to?

- Zna pan Pchłę?

- Na Montmartrze wszyscy go znają.

- To on... Dowiedziałem się od Manuela Mori... wygadał się albo myślał, że ja wiem...

Od blisko trzydziestu lat Maigret znał człowieka, którego nazywano Pchłą, bo mierzył zaledwie metr pięćdziesiąt. Był przy tym chudy, miał dziwną twarz z ustami od ucha do ucha. I te ogromne usta, jakby z gumy, mogły co chwila przybierać inny wyraz.

Pracował jako goniec w "Rat de Cave", niegdyś bardzo eleganckim kabarecie na placu Pigalle, gdzie większość gości przychodziła w smokingach. Nosił czerwony uniform z krótką kurtką, czapkę z galonami i stał w drzwiach gotów w każdej chwili biec gdzieś na każde zawołanie klienta. Kiedy zamknięto "Rat de Cave", Pchła, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Justin Croton, przez wiele lat pracował w piwiarni na ulicy Victor-Masse, uczęszczanej przez fiske z przestępczego świata. Nadal był chudy, zręczny, zdolny wkręcić się wszędzie, ale na twarzy pojawiły mu się zmarszczki. Z daleka wyglądał jak chłopak. Z bliska dostrzegało się jego czterdzieści pięć czy czterdzieści sześć lat.

- A ja nie rozpoznałem jego głosu - wyrzucił sobie Louis.

- Zmieniał go chyba nie do poznania.

- Nie tak bardzo. Teraz, kiedy mi pan powiedział, to dla mnie jasne. Nigdy sobie nie daruję, że nie pomyślałem o nim.

- Z czego się ostatnio utrzymywał?

- Żył z fordanserką z "Canari" na Pigalle, która mieszka na ulicy Fromentin...

- Sutener?

- Coś w tym rodzaju. Nie wiem. Ciekawe, że taka ładna dziewczyna zgodziła się żyć z tym karłem... Urodził się w Paryżu na bulwarze de la Chapelle, nie muszę panu mówić, czym zajmowała się jego matka. Wysłała go do jednej ze swoich sióstr do Saint-Nesmin-le-Vieux w Wandei. Kiedy miał czternaście lat, wrócił do Paryża i jakoś sobie radził...

- Teraz jest w niebezpieczeństwie - rzekł z powagą Maigret.

- Myśli pan, że Mori ośmieliliby się...

- Oni sami nie brudziliby sobie rąk... Mają do dyspozycji dość płatnych morderców, żeby sprzątnąć kłopotliwego świadka...

Inspektor Louis wciąż nie mógł ochłonąć z wrażenia.

- Pchła!... I nikt się go nie wystrzeżał... Uważano go za bezbronną istotę, nie całkiem za mężczyznę, raczej za dzieciaka z pomarszczoną gębą... Zadawał się z bandziorami, którzy rozmawiali przy nim swobodnie... Myślę, że marzył, żeby go przyjęli do swego grona... Nie zdziwiłbym się, gdyby się nim posługiwali w razie potrzeby i stawiali go na czatach.

- Jak się nazywa jego przyjaciółka?

- Blanche Pigaud... Ulica Fromentin 28... Dwa kroki od bulwaru Clichy, gdzie właśnie jadłem obiad...

- Zna ją pan?

- Tylko z widzenia, bo nigdy nie mogłem jej nic zarzucić...

- Pewnie kładzie się spać dopiero o świcie. Mamy szansę zastać ją w domu...

- Chyba że to dzień, kiedy chodzi do fryzjera... Te dziewczyny wstają rano tylko wtedy, gdy idą do fryzjera...

Maigret wezwał Janvier.

- Pojedziesz z nami? Ruszamy znowu na Montmartre.

- Mam wziąć samochód?

- Oczywiście...

Pojechali we trzech. Dzień był promienny, trochę za upalny jak na maj, więc spodziewano się burzy. Na cichej ulicy Fromentin budynek noszący numer 28 był

stosunkowo nowy, solidny.

- Wchodzimy wszyscy?

- Najpierw wejdę sam, żeby jej nie spieszyć. Chociaż... Lepiej, żeby inspektor Louis poszedł ze mną, bo to do niego telefonowała...

- Drugie piętro, od ulicy - powiedziała dozorczyń.

Na klatce schodowej unosiły się zapachy kuchenne, gdzieś płakało niemowlę. Maigret nacisnął dzwonek. Musieli bardzo długo czekać, zanim w drzwiach pojawiła się młoda, raczej pulchna kobieta, w lekkim peniuarze narzuconym na gołe ciało.

Poznała inspektora Louis.

- Odnalazł go pan?

- Jeszcze nie, ale komisarz Maigret chciałby z panią porozmawiać...

- Widzi pan, jak wyglądam... Spałam... nawet się nie przyczesalam...

- To niech się pani przyczesze, poczekamy - odparł dobrotliwie Maigret.

Dziewczyna miała szczerą twarz, może nawet naiwną. Wyglądała na dwadzieścia pięć lat, a życie, jakie wiodła, nie pozbawiło jej jeszcze młodzieńczej świeżości.

- Proszę wejść i usiąść... Zaraz wracam...

Poszła do sypialni, obok której zapewne znajdowała się łazienka.

Gdyby komisarz nie był przyzwyczajony do stylu życia pewnych kobiet, na które panie z towarzystwa patrzy pogardliwie, byłby zaskoczony tym wnętrzem. W salonie stały wygodne meble; takie same meble uchodzące za nowoczesne można by znaleźć w połowie paryskich mieszkań. Były starannie wypolerowane, podobnie jak parkiet. Czuło się zresztą lekki zapach pasty. Maigret pchnął jedno z drzwi i wszedł do idealnie czystej kuchni, w której nie dostrzegł najmniejszego nieładu.

- Napije się pan kawy? - spytała dziewczyna ukazując się w progu, nadal w samym peniuarze, ale z odświeżoną twarzą i z dyskretnym makijażem.

- Nie, dziękuję.

- Pozwoli pan, że ja się napiję. W moim zawodzie nie zawsze udaje mi się odmówić czegoś mocniejszego. Bob, jak tylko może, podaje mi zimną herbatę zamiast whisky, ale z niektórymi klientami to nie wychodzi... Jeśli ma pan ochotę, w lodówce jest piwo... Justin uwielbia piwo i ciągle ma nadzieję, że od niego utyje... Wie pan, że on waży niecałe czterdzieści dwa kilo? Chciał zostać dżokejem, ale jego nauka trwała tylko dwa dni, bo bał się koni...

- Ale nie boi się twardzieli z Pigalle...

Włączyła elektryczną maszynkę do kawy. Kuchnia była wyposażona w najnowocześniejszy sprzęt.

- Co z tym piwem?

- Chętnie... szklaneczkę.

- A pan inspektor to pija tylko Vichy, ale nie mam.

- Skąd pani wie?

- Bywa od czasu do czasu w "Canari"... Robi obchód wszystkich knajp... Siada w kącie baru i słucha... Wie dużo więcej, niż na to wygląda...

- Wiedziała pani o telefonach Pchły?

- Niezupełnie.

Niosła swoją kawę do salonu, a Maigret szedł za nią ze szklanką piwa.

- To dziwny chłopak, inspektor Louis może panu powiedzieć... Prawda, inspektorze?

- Zawsze się zastanawiałem, dlaczego pani z nim zamieszkała...

- Przede wszystkim dlatego, że nie mogę znieść większości stręczycieli. W gruncie rzeczy jestem stworzona do innego życia i nigdy nie czuję się tak szczęśliwa, jak wtedy kiedy prowadzę gospodarstwo...

Wszyscy troje zasiedli w fotelach.

- W moim zawodzie potrzebuję przecież mężczyzny...

- Nawet takiego karła jak Justin Crotton?

- Pozory mylą... Pod niektórymi względami pozostał dość dziecinny, ale ma o wiele więcej zdrowego rozsądku, niż na to wygląda...

Nie zwracała uwagi na peniuar, który szeroko się rozchyłał; skórę miała bardzo jasną, zapewne bardzo delikatną.

- Jego marzeniem było zawsze zostać prawdziwym bandziorem; na początek, jak większość z nich, chciał być sutenerem...

- I jest nim teraz?

- Pozwalam mu w to wierzyć... Dzięki temu może siebie traktować poważnie...

W dalszym ciągu oddaje ludziom różne usługi, jak wtedy, kiedy był gońcem. Od czasu do czasu przybiera, nawet wobec mnie, tajemnicze miny i mówi mi tylko: "Nie zdziw się, jeżeli nie wrócę na noc lub dwie... Szykujemy wystrzałowy skok..."

- I to prawda?

- Prawdą było to, że szykował się skok zorganizowany przez taką czy inną bandę, ale on w niej nie był... Nie wiedziałam natomiast, że telefonował do inspektora



z informacjami, które zbierał... To też mu dodawało ważności we własnych oczach.

- Co się stało w ciągu ostatnich dwóch dni? Mówił pani o tym?

- Niezbyt dokładnie. Któregoś ranka wrócił ogromnie podekscytowany. "Ale bomba była w nocy, będzie o tym na pierwszych stronach wszystkich gazet, zrobi się szum... - Włamanie? - Coś poważniejszego... Zabójstwo. A ofiara jest jedną z osób najbardziej znanych w dzielnicy... - Nie możesz mi powiedzieć nazwiska? - Zaraz będzie w gazetach. Chodzi o pana Maurice'a... - Szefa Sardine? - Tak... I tylko ja wiem, poza mordercą i jego kochanką, kto to zrobił..." Wolałam nie wiedzieć, kto...

Wzięła następnego papierosa, jednego już wypaliła po wyjściu z łazienki.

- Zapytałam go, co ma zamiar zrobić. Odpowiedział:

"Nie martw się o mnie... - Ale chyba nie będziesz szantażował faceta? -

Przecież to nie w moim stylu. - On nie wie, że ty wiesz? - Gdyby wiedział, długo bym nie pociągnął..."

Zamilkła na chwilę, wypuszczając dym przed siebie.

To był jakby wielki dzień w jego życiu. "Gdybyś wiedziała, kto to zrobił... Jeden z największych hersztów Montmartre'u. A jego kochanka... - Nic mi nie mów... - Dobra... Dowiesz się prawdy z gazet... Jeśli gazety odważą się ją wydrukować..." Wyszedł z rana i od tej pory go nie widziałam. Wieczorem w "Canari" jakoś dziwnie patrzono na mnie, a dwóch mężczyzn, których nie znam, nie spuszczało ze mnie wzroku. Siedziałem w barze, jak zwykle. Podszedł do mnie klient z prowincji, który zawsze mnie odwiedza, jak jest w Paryżu... Wzięłam go do hotelu, a kiedy wychodziliśmy, jeden z tych dwóch mężczyzn przechadzał się po ulicy... Zaczęłam się bać o Pchłę... Wszyscy go tak nazywają i w końcu ja też... Zresztą on jest z tego dumny... W pewnym sensie jest sławny... Uwielbia też stroić miny, żeby rozśmieszać ludzi...

- Telefonował do mnie - oznajmił bezbarwnym głosem inspektor Louis.

- Tak myślałam... To tłumaczy jego tajemnicze miny i to, co mi powiedział wychodząc... Czy naprawdę jest w niebezpieczeństwie?

Odpowiedział Maigret.

- Z całą pewnością. Zabójca pana Maurice'a wie, że to Pchła go wydał...

- A co ze mną? Myśli pan, że do mnie się nie dobiorą?

- Czy w dalszym ciągu panią śledzą?

- Ostatniej nocy jeden z tych mężczyzn znowu był w "Canari". Zawołano go do telefonu i potem wyszedł, ale jeszcze popatrzył na mnie znacząco...

- Jeśli się nie mylę, zaczynają się właśnie rozjeżdżać po całej Francji...

- A bracia Mori?

- Kto pani o nich mówił? Ani w gazetach, ani w radio nie wymieniano ich nazwiska.

- Wszyscy w dzielnicy o nich mówią. Oni też wyjechali?

- Nie. Mamy ich obu na oku.

- Myśli pan, że to oni?...

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. O której wychodzi pani zwykle z domu?

- Około drugiej czy trzeciej, robię zakupy w najbliższej okolicy, lubię gotować... Koło dziewiątej wieczór przebieram się do roboty i idę do "Canari". Siadam na swoim miejscu przy barze i czekam... Czasem dwie godziny, czasem tylko kilka minut, a bywa, że czekam aż do zamknięcia.

- Za godzinę na ulicy pojawi się policjant w cywilu... Niech się pani nie zdziwi, że będzie panią śledził. Zrobi wszystko, żeby panią chronić...

- Czy jutro mam iść na pogrzeb? Wszyscy idą...

- Niech pani pójdzie. Ja też tam będę. Pani anioł stróż także...

- Przypomina mi się katechizm...

Obaj mężczyźni wstali.

- Gdyby się pani czegoś dowiedziała, proszę zadzwonić do Policji Kryminalnej. Niech pani pyta o mnie albo o kogoś z mojej brygady. Bo inspektor Louis rzadko jest u siebie w komisariacie.

- Dziękuję, panie komisarzu... Do widzenia, inspektorze... Jak panowie będą coś wiedzieli o Justinie...

- Mam nadzieję, że niczego złego się nie dowiemy. Wyczuł niebezpieczeństwo i ukrył się... Nie musiał uciekać daleko, bo zna Montmartre jak własną kieszeń, a są tu miejsca, gdzie taki chłopiec jak on może żyć całe tygodnie i nikt go nie wywęszy.

- Oby tak było - westchnęła dziewczyna odpukując w nie malowane.

Na dole spotkali Janvier.

- I co?

- Ona oczywiście się boi i nie mogę twierdzić, że bez powodu. Boi się o Pchłę i o siebie... Obiecałem jej, że za godzinę zjawi się przed domem człowiek z brygady i że będzie za nią wszędzie chodził... Nie zapomnij wydać dyspozycji, kiedy wrócimy na Quai... Wyślij kogoś, kto mógłby wejść do dość eleganckiej nocnej knajpy nie

zwracając na siebie uwagi.

Maigret odwrócił się do Louisa.

- Na razie niech się pan tu ustawi... Jak tylko zjawi się nasz inspektor, odzyska pan wolność.

- Dobrze, panie komisarzu...

Kiedy Janvier zasiadł za kierownicą, spytał:

- Jaka ona jest?

- Świetna dziewczyna... Gdyby jej się inaczej ułożyło w życiu, kiedy miała siedemnaście czy osiemnaście lat, byłaby zapewne pierwszorzędną żoną i panią domu...

- Wiedziała?

- O telefonach Pchły? Zaczęła go podejrzewać dopiero dwa dni temu...

Niebawem... Ten chłystek z twarzą kłowna przez całe lata był informatorem inspektora Louis i nikt go nie podejrzewał... Pewnie się delectował tą rolą, to dawało mu wiarę w siebie. Kiedy aresztowano tego czy innego przestępcę, mógł sobie mówić: "Dzięki mnie".

I była to prawda!

Po południu Maigret wszedł na samą górę Pałacu Sprawiedliwości, gdzie mieściło się królestwo Moersa: laboratorium wydziału kryminalistyki. Specjaliści są potrzebni w dziewięciu sprawach na dziesięć, choćby do badania odcisków palców, tymczasem w pokojach ze spadzistymi sufitami pracowało niespełna dwunastu ludzi w białych kitlach.

- Przypuszczam, że jeszcze za wcześnie, żeby było coś nowego?

Moers, człowiek skromny, chuderlawy, w pomiętym garniturze, od tak dawna pracował na Quai des Orfevres, że trudno było wyobrazić sobie to laboratorium bez niego. Zawsze gotów do pracy, obojętnie o której godzinie w dzień czy w nocy. Co prawda był kawalerem i w jego studenckim mieszkanku w Dzielnicy Łacińskiej nikt na niego nie czekał.

- Jeden fakt jest już ustalony - odparł swoim nieco monotonnym głosem. - Bardzo niedawno, zapewne wczoraj po południu, wypucowano wszystkie meble, gałki drzwiowe, popielniczki, najdrobniejsze przedmioty, żeby usunąć z nich odciski palców. Pobraliśmy jedynie odciski lokatora, Manuela Mori, którego fiszkę znalazłem w rejestrze skazanych, oraz sprzątaczkę, która jak mi to potwierdziła dozorczyńni,

przyszła na skwer La Bruyere wczoraj po południu... Zapomniałem o jeszcze innych odciskach, pańskich...

- Nie przeoczyli ani jednego odcisku?

- Ani jednego, szefie. Można by rzec, że to fachowa robota...

- To robota fachowa... Z jakiej daty pochodzi fiszka, którą pan znalazł w rejestrze?

- Sprzed czternastu lat...

- Włamanie?

- Tak, w czasie wakacji, do rezydencji prywatnej na avenue Hoche... - Na ile został skazany?

- Miał wtedy zaledwie osiemnaście lat i czystą kartotekę. Poza tym uznano, że był tylko pionkiem, bo włamania dokonało pięciu mężczyzn...

- To mi coś przypomina, ale nie zajmowałem się tym osobiście.

- Odsiedział rok...

- Czy istnieje choćby najmniejsza poszlaka, że do mieszkania, również do sypialni, regularnie przychodziła kobieta?

- Szafy zostały dokładnie przeczesane, jeśli się tak można wyrazić. Ani śladu pudru, kremu, nigdzie żadnego włosa należącego do kobiety...

- A na mokiecie?

- Dorin jest na pewno jednym z najlepszych na świecie specjalistów od włókien roślinnych i zwierzęcych. To jego konik. Przeszło godzinę badał mokiec przez lupę i zebrał ze trzydzieści ledwo widocznych nitek. Pracował nad tym wiele godzin... Te jedwabne nitki są bardzo stare, mają co najmniej trzysta lat i Dorin przysięgłby, że pochodzą z chińskiego dywanu... W dalszym ciągu przeprowadza analizy swoich znalezisk, bo koniecznie chce zdobyć stuprocentową pewność.

Maigret lubił atmosferę tych mansardowych pomieszczeń, gdzie pracowało się z dala od ludzi, w spokoju.

Każdy wiedział, co ma robić. Koło jednego z okien stał rozkładany manekin, który tak często służył przy rekonstrukcjach zbrodni. Kiedy na przykład chodziło o ustalenie, w jakiej pozycji znajdowała się ofiara ugodzona nożem, albo o odtworzenie trajektorii, jaką przebyła kula mordercy.

- Gdyby jutro było coś nowego, proszę to przekazać Janvierowi. Ja jadę do Bandol...

Moers nie należał do ludzi spędzających urlopy na Lazurowym Wybrzeżu.

Bandol było dla niego chyba obrazkiem z marzeń. Mruknął tylko:

- Będzie tam panu gorąco.

Kiedy Maigret podczas kolacji oznajmił żonie, że nazajutrz jedzie do Bandol, uśmiechnęła się i rzekła:

- Wiedziałam...

- Skąd?

- Bo radio przed chwilą podało, że msza odbędzie się jutro rano w kościele Notre-Dame-de-Lorette, a pogrzeb na cmentarzu w Bandol... Co spodziewasz się tam odkryć?

- Nic ściśle określonego... Może wpadnie mi w oko jakiś szczegół, jakaś drobnostka... Jadę tam z tego samego powodu, dla którego rano będę uczestniczył w nabożeństwie.

- Będzie ci gorąco.

- Możliwe, że będę musiał zostać w Bandol na noc... To zależy od samolotów... Nie mam siły wracać do Paryża pociągiem.

- Przygotuję ci niebieską walizeczkę...

- Dobrze... Zapakuj tylko bieliznę i przybory toaletowe...

Miał trochę wyrzutów sumienia, że jedzie na Południe na koszt podatników, bo nie było to absolutnie konieczne. Spodziewał się nawet, że w ogóle nic tam nie znajdzie.

Spał spokojnie, jak prawie zawsze. Kiedy pani Maigret przyniosła mu pierwszą filiżankę kawy, oślepiło go słońce.

- Zapowiadają na dzisiaj trzydzieści stopni w Marsylii... - powiedziała z uśmiechem.

- A w Paryżu?

- Dwadzieścia sześć... To najcieplejszy maj od trzydziestu dwóch lat...

- Mam samolot o dwunastej z minutami, nie wiem dokładnie, bo bilet załatwił Janvier. Zdamę tylko wstąpić na Quai przed wyjazdem na Orly. Wezmę od razu walizeczkę...

- A obiad? Kiedy i gdzie zjesz obiad?

- W najgorszym razie zjem kanapkę w barze na Orly...

Kiedy skierował się w stronę drzwi, powiedziała:

- Nie pocałujesz mnie?

I tak by jeszcze zawrócił.

- Tylko się nie denerwuj. Nie lecę przecież jednopłatowcem sprzed pół wieku i nie wyruszam w podróż dookoła świata...

A jednak był trochę poruszony, jak zawsze, ilekroć zostawiał żonę na dłużej niż jeden dzień.

Na ulicy przed domem zadarł głowę, przekonany, że zobaczy ją w oknie.

Całe szczęście, bo pokazywała mu niebieską walizeczkę, której zapomniał wziąć. Spotkali się na schodach w połowie drogi. Kwadrans po dziewiątej Janvier wszedł do gabinetu komisarza.

- Podobno cała ulica jest już wypełniona ludźmi i w kościele wszyscy się nie zmieszczą...

Maigret trochę się tego spodziewał, ale jednak nie aż takich tłumów.

- Nie ma ciągle wiadomości od Pchły?

- Nie. Blanche Pigoud miała w nocy telefon w "Canari". Kiedy wróciła na swoje miejsce przy barze, wyglądała na zdenerwowaną, ale prawie natychmiast przysiadł się do niej jakiś klient...

- O której wróciła do domu?

- Około czwartej rano...

- Trudno... - mruknął do siebie Maigret.

I zaczął szukać jej numeru telefonu, znalazł go i zadzwonił. Wbrew temu, co przewidywał, odebrała dość szybko.

- Kto mówi? - spytała zaspanym głosem.

- Komisarz Maigret...

- Ma pan coś nowego?

- Nie, to pani ma. Kto telefonował do pani w nocy, do "Canari"?

- To on, tak...

- Powiedział pani, gdzie jest?

- Nie. Chciał się dowiedzieć, czy pan albo inspektor Louis orientują się w tym, co jego dotyczy. Odpowiedziałam, że tak... Wtedy zapytał, czy pan się na niego gniewa; tym razem odpowiedziałam, że nie...

Sprawiła wrażenie dziewczynki mówiącej przez sen.

- Prawda, że się pan na niego nie gniewa?

- Nadal tak się boi?

- Tak. Chciał też wiedzieć, czy jacyś nieznajomi nie kręcą się koło domu.

Nikogo jeszcze nie aresztowali?

- O ile wiem, nie. - "Nie zrobili nawet rewizji u Manuela Mori? - Zdaje się, że zrobili. Był tu komisarz z inspektorem Louis, ale nie podali mi szczegółów... W każdym razie jeden policjant pilnuje mnie przez całą dobę..."

- Nic więcej nie powiedział? - spytał Maigret.

- Tylko tyle, że co noc zmienia melinę... To wszystko... Nie miałam czasu na dłuższą rozmowę, bo od dobrej chwili kręcił się koło mnie klient...

- Niech się pani położy z powrotem i niczego się nie obawia... Gdyby pani miała coś nowego, proszę dzwonić w ciągu dnia do inspektora Janvier na Quai des Orfevres...

- Jedzie pan do Bandol?

Zaczynało go to drażnić. Wszyscy pytali go o tę podróż, tak jakby ją zapowiedział w gazetach.

- No proszę! - westchnął patrząc na Janviera, którego sylwetka odcinała się od zieleni drzew. - Nie wiem, czy to dobry pomysł, ale on co noc zmienia kryjówkę...

- Może to nie takie głupie... Tylu ludzi pewnie go szuka... Jeśli Mori, co prawdopodobne, wydał polecenie, wszystkie szuje z Montmartre'u na pewno czyhały na Pchłę. A on ze swoją fizjonomią nie mógł przejść nie zauważony w tłumie.

- Wstąpię zaraz po swoją walizkę... Daj mi lepiej od razu bilet...

Na szczęście odlot był później, niż przypuszczał: 12.55.

- To na razie.

Kazał się zawieźć na ulicę Ballu i powiedział policjantowi, który prowadził samochód, żeby czekał na niego w pobliżu kościoła.

Przed domem zgromadziło się ponad dwieście osób, ale tylko niektórzy wchodzili do środka, by złożyć kondolencje. Byli tu ludzie wszelkiego autoramentu, sklepikarze z dzielnicy, sutenerzy, właściciele restauracji i nocnych kabaretów. Zaczęto wnosić kwiaty; wraz z wieńcami ledwie się zmieściły w dwóch samochodach. Potem czterech mężczyzn zniosło mahoniową trumnę i wstawiło ją do karawanu. Kościół był dość blisko, nie starczyłoby zresztą samochodów dla wszystkich. Kiedy na progu pojawiła się Line Marcia w żałobie, jasnowłosa, blada, w tłumie nastąpiło poruszenie, jak na widok gwiazdy filmowej, i wydawało się, że ludzie zaczną klaskać. Wsiadła do ogromnej czarnej limuzyny, która ruszyła powoli. W pierwszym szeregu siedł cały personel "Sardine". Następny rząd tworzyła stara gwardia, ludzie w wieku pana Maurice'a, a nawet kilku starszych. Kroczyli z godnością, trzymając kapelusze w rękach; w oknach zaroilo się od ciekawskich. W

triumfującym blasku słońca wyglądało to imponująco; Marcia byłby zadowolony z takiego pogrzebu.

Kiedy Maigret się odwrócił, zobaczył, że orszak, zajmujący całą szerokość ulicy, ciągnie się na przeszło trzysta metrów, tak że policjanci musieli zatrzymać ruch wymachując gorączkowo białymi pałkami.

- Bombowy pogrzeb - zawołał chłopak przechodzący obok.

Kościół był już pełny, tylko pierwsze rzędy oddzielono od reszty czarnymi sznurami.

Line szła sama, na przedzie, wyprostowana, a jej niebieskie oczy były nieprzeniknione. Sama też zasiadła w pierwszym rzędzie krzeseł, personel usiadł w drugim. Ludzie tłoczyli się w obu nawach, podobnie jak na dziedzińcu. Główne drzwi pozostawiono otwarte i do kościoła wpadał powiew wiosny. Organy odegrały marsz żałobny, po czym rozpoczęła się msza. Maigret, stojący w lewym skrzydle, przyglądał się twarzom i wkrótce wypatrzył Manuela Mori. Zajmował on miejsce wśród ważnych, cieszących się autorytetem osób, tak jakby mu się to należało z wieku i z urzędu, a przecież był tu najmłodszy. Zauważył spojrzenie Maigreta i przybrał taki wyraz, jakby rzucał komisarzowi wyzwanie. Maigret opuścił kościół nie doczekawszy końca ceremonii. Było mu gorąco i chciało mu się pić. Po chwili zanurzył się w cień bistra, gdzie zamówił szklanekę piwa.

- To ci dopiero pogrzeb! - mruknął właściciel, który był bardzo stary i trochę drżały mu ręce.

- Co to za jeden?

- Właściciel restauracji "Sardine"...

- Z ulicy Fontaine?

- Tak.

- Myślałem, że to jakiś gangster...

- Był gangsterem za młodu...

Maigret jednym haustem wypróżnił szklanekę, zapłacił i odszukał czarny samochód Policji Kryminalnej.

- Na Quai...

- Tak jest, szefie...

Była jedenasta. Zdażył tylko chwycić walizeczkę, uścisnąć dłoń Janvierowi i tym samym samochodem odjechał na Orly. Czy Line i Manuel odbędą tę podróż razem? Czy trumna zostanie przewieziona samolotem aż do Bandol?



Po załatwieniu formalności zostało mu trochę czasu, ruszył więc na poszukiwanie komisarza lotniska. Znał go, bo pracował on kiedyś na Quai des Orfevres.

- Jedzie pan do Bandol?

Maigret musiał się pohamować, żeby nie wybuchnąć.

- Tak... Zdaje się, że mam odlot za dwadzieścia minut...

- Zaraz będą wzywać pasażerów...

- Chciałbym zapytać... Nie wie pan, który z samolotów ma przewozić trumnę?

- Pana Maurice'a?

- Tak.

- Koło trzeciej pan Maurice wsiada razem z żoną do prywatnego samolotu, który ona wynajęła, on w pudle, ona oczywiście obok...

Maigret powstrzymał się od wzruszenia ramionami.

- Ile czasu zajmie im ta podróż?

- Mają lądować w Tulonie, a stamtąd karawan przewiezie ciało do Bandol. To tylko czternaście kilometrów...

- Pasażerowie odlatujący do Marsylii... - rozległo się z głośnika.

I Maigret skierował się do wyjścia, którego numer ogłoszono. Dziesięć minut później samolot, jeszcze dwuśmigłowiec, wystartował.

Obiecał sobie, że będzie oglądał krajobraz, bo region na południe od Lyonu lubił szczególnie. Ale mu się to nie udało, ponieważ spał już, zanim przelecieli nad Rodanem. Z lotniska w Marsylii pojechał na dworzec, skąd po półgodzinie miał pociąg do Bandol. Czuł się trochę śmiesznie z tą swoją walizeczką na kolanach i z kapeluszem, który co chwila zdejmował, żeby wytrzeć czoło.

W Bandol od razu na peronie słońce zaczęło mu dosłownie palić skórę i już żałował, że przyjechał. Taksówki i jedna stara dorożka czekały przed dworcem na pasażerów. Maigret wybrał dorożkę.

- Dokąd mam pana zawieźć, panie miastowy?

- Zna pan jakiś dobry hotel blisko morza?

- Za kwadrans będziemy na miejscu...

Koła zagłębiały się w rozmiękły od upału asfalt. Miasteczko było prawie białe, jak Algier, wzdłuż niektórych ulic rosły palmy. Poprzez zieleń zobaczył najpierw niebieskie jak na fladze morze; potem plażę, na której opalało się zaledwie kilka osób, a kilka innych pływało. Sezon jeszcze się nie rozpoczął. Przejechali koło kasyna.

Hotel też był biały, z olbrzymim tarasem usianym kolorowymi parasolami.

- Proszę o pokój.
- Na jak długo?
- Na jedną noc.
- Jednoosobowy? Woli pan od strony morza?

Wypełnił kartę hotelową.

- Numer 233...

Hotel nosił nazwę "Les Tamaris". Był nowy i bardzo czysty.

- Można tu się czegoś napić?
- Bar jest w głębi po prawej.

Poszedł do baru na piwo.

- Czy może pan komisarz Maigret? - spytał barman, który go przez chwilę obserwował.

Był to młody chłopak, z bardzo jasnymi włosami; poczerwieniał zawstydzony, że pozwolił sobie na taką śmiałość.

- Długo pan będzie na Wybrzeżu?
- Do jutra...
- Tak myślałem... Przyjechał pan na pogrzeb pana Maurice'a, prawda?
- Znany był tu w okolicy?
- Uchodził w pewnym sensie za Boga...
- Jego willa jest daleko stąd?

- Dobry kwadrans drogi pieszo. Praktycznie na drugim końcu, od strony morza, niedaleko willi nieboszczyka Raimu. Łatwo ją rozpoznać, bo obok jest olbrzymi basen...

Maigret nie mógł pozbyć się wrażenia, że popełnił oszustwo, biorąc bezprawnie ten urlop.

- A cmentarz?

- Niecały kilometr od willi... Wie pan, będzie tam kupa ludzi... Od rana zjeżdżają z Tulonu i Marsylii...

- Co to za ludzie?
- Ważne osoby. Zastanawiam się nawet, czy nie przyjedzie podprefekt.

Mówi się o tym...

Maigret wypił duszkiem drugie piwo, spojrzął na zegarek i powoli ruszył w drogę. Na szczęście aleje wzdłuż morza były zacienione.

- Muszę tu przyjechać na kilka dni z żoną... - rozmarzył się.

Samolot miał przewieźć trumnę i Line do Tulonu. W miarę jak Maigret zbliżał się do willi, dostrzegał coraz więcej ludzi, a kiedy doszedł do zakrętu, roztoczył się przed nim mniej więcej ten sam widok co rano na ulicy Ballu. Ilu z tych ludzi znało prawdę? Było to bez znaczenia, bo i tak nikt by nic nie powiedział. Odważył się na to tylko jeden człowiek, który telefonował z automatu, nie podając nawet swojego nazwiska, i teraz ukrywał się Bóg wie gdzie na Montmartrze.

## Rozdział 5

W tłumie nieco na uboczu zauważył znajomą twarz. Był to Boutang, komisarz Policji Kryminalnej w Tulonie.

- To śmieszne - powiedział Boutang podając mu rękę. - Myślałem o panu dziś rano przy goleniu i miałem przeczucie, że pan przyjedzie...

Wskazał na tłum.

- Co pan o tym sądzi? Można by nabrać pełne sieci... Jest tu cała śmietanka, rekiny świata przestępczego nie tylko z Tulonu, ale także z Marsylii, Cannes, Nicei...

Ktoś do nich podszedł i Boutang uściskał mu dłoń, po czym dokonał prezentacji:

- Charmeroy, komisarz policji w Bandol... Chyba poznaje pan komisarza Maigreta?

- Jestem zaszczycony...

Obaj byli ludźmi solidnymi. Znali się na swoim zawodzie i nie dawali sobie w kaszę dmuchać.

- Dziewięciu na dziesięciu tych facetów, co się tu zebrali, żyje na marginesie prawa, a najbardziej zadziwiające jest to, że przeciw żadnemu z nich nie mielibyśmy dowodu...

- Czy Marcia przyjmował dużo gości, kiedy mieszkał latem w Bandol?

- Nie, bardzo mało. Kilku najbliższych. Głównie braci Mori...

- Zostawali u niego na noc?

- Tak. I bywało to zawsze w okresie poważnych włamań, o których piszą gazety... Ofiarą padają letnicy, właściciele wielkich willi na Wybrzeżu, którzy mają też jachty i w lipcu albo w sierpniu wyruszają w rejs na wyspy greckie... Po powrocie są zaskoczeni brakiem mebli i przedmiotów wartościowych...

- To tak jak w zamkach...

- Mniej więcej... Podejrzywałem braci Mori, a nawet szefa, na którego wszyscy tu mówią pan Maurice... Kazałem pilnować willi... Jakby przypadkiem, za każdym razem, kiedy było jakieś włamanie, Mori nie wysuwali nosa na zewnątrz i do białego rana grali z Marcją w remika. Znapan jego żonę? Nie brak jej klasy, można by pomyśleć, że się czuje nieswojo w tym środowisku...

Zbliżał się orszak. Za karawanem Line, sama w samochodzie, potem auta z rejestracją Lazurwego Wybrzeża. Wielkie amerykańskie limuzyny, ale też wozy sportowe z młodszymi pasażerami. Wszystko to posuwało się z wolna, a z tyłu podążał rozproszony tłum. Nastąpił moment zamieszania. Szofer karawanu, dojeżdżając do willi, właśnie miał skrócić w prawo,

ale mistrz ceremonii podbiegł i wydał mu jakieś inne polecenie. Obie grupy zmieszały się ze sobą. Wyglądało na to, że wszyscy się tu znają. Podawano sobie dłonie. Tu i tam rozmawiano szeptem. Pani Marcia wysiadła z samochodu i skierowała się do willi. Była ubrana inaczej niż rano. Teraz miała na sobie czarny kostium z lekkiego materiału i biały jedwabny kapelusz. Rękawiczki też białe. Po co poszła sama do willi? Ani Maigret, ani Boutang i komisarz z Bandol nie znajdowali żadnej sensownej odpowiedzi na to pytanie.

Wyszła po niecałych dziesięciu minutach i znów wsiadła do samochodu. Orszak zawrócił, wjechał w ulicę des Ecoles, potem w aleję 11 Listopada i nagle znalazł się przed bramą cmentarza.

Znowu zrobiło się zamieszanie, bo wiele osób zaczęło biec depcząc po mogiłach, żeby zająć dobre miejsce przy otwartym grobie.

Stał tam już ksiądz, który przywitał się z Line. Płakała nie bardziej niż rano w kościele Notre-Dame-de-Lorette. Spuszczono ciężką trumnę. Ksiądz odmówił półgłosem kilka modlitw, kwiaty położono tymczasem na sąsiednich grobach.

- Są tu wszyscy wielcy szefowie świata przestępczego. A także młodzi, dumni, że się pokazują razem z nimi... Co pan teraz robi, komisarzu?

- Jeszcze nie wiem.

- Gdzie się pan zatrzymał?

- W hotelu "Les Tamaris".
- To bardzo dobry hotel, ma sympatycznych właścicieli...

Line odjechała już samochodem do willi, Maigret nie dojrzał w tłumie Manuela Mori ani jego brata.

- Chyba złożę komuś wizytę.
- Sądzi pan, że ona o wszystkim wiedziała?
- Nie sądzę. Jestem pewny. Niestety, nie zdobyłem żadnego dowodu.
- Powodzenia... Gdyby mnie pan potrzebował, wie pan, gdzie znaleźć mnie i

Charmeroy...

Tłum powoli się rozchodził, ludzie zmierzali w stronę śródmieścia, żeby napić się czegoś zimnego w barze. Tylko kilka samochodów, tych z najważniejszymi osobami, ruszyło prosto do Tulonu czy Marsylii.

Maigret znalazł się sam przed białą willą. Niczym się specjalnie nie wyróżniała. Była to ładna willa, nic więcej, największe wrażenie robił basen otoczony fotelami-hamakami. W ogrodzie rośło kilka drzew palmowych, sporo kaktusów i roślin tropikalnych, których Maigret nie znał.

Wszedł po trzech schodkach podestu, nacisnął dzwonek elektryczny i ze zdziwieniem zobaczył, że drzwi się momentalnie otwierają. Przed nim stała Line.

- Mogłam się spodziewać, że nie przepuści pan tej okazji... Nie może pan uszanować żałoby, co?

- A pani?

Wchodziło się bezpośrednio do obszernego holu o białych ścianach. Stojące w nim meble i przedmioty były równie wytworne, choć w innym stylu niż te z ulicy Ballu. Nie poprosiła go, by usiadł. Stała czekając, aż się odezwie. Trzymała w palcach papierosa, ręka lekko jej drżała.

- Chciałbym z panią porozmawiać o tej nocy, kiedy został zabity pani mąż...
- Mam wrażenie, że już rozmawialiśmy na ten temat.
- Ponieważ nie powiedziała pani prawdy, pytam panią ponownie.

I Maigret usiadł w jednym z jasnobezowych skórzanych foteli.

- Korzysta pan z tego, że nie mam dość siły, żeby wyrzucić pana za drzwi...

- W żadnym wypadku nie ośmieliłaby się pani tego zrobić... Choćby dlatego, żeby jeszcze bardziej nie skompromitować swojego kochanka.

Zbladła i ze wściekłością zgmiotła papierosa w popielniczkę.

- Więc pan nie ma żadnych ludzkich uczuć?

- Przeciwnie, mam ich aż nadto. Ale zależy, z kim rozmawiam... Jest oczywiste, że poślubiła pani Marcie dla pieniędzy...

- To moja sprawa.

W końcu usiadła, skrzyżowała nogi, zapaliła następnego papierosa, którego wyjęła ze złotego pudełka leżącego na stoliku.

- Była pani w łóżku z Manuelem... Zapukano gwałtownie do drzwi i, jak przypuszczam, Mori narzucił szlafrok, podczas gdy pani wślizgnęła się pod prześcieradła...

Nawet nie drgnęła. Jej twarz była teraz nieporuszona. Można by nawet przysiąc, że jasnoniebieskie oczy wyrażały tylko ciekawość.

- I co dalej?

- To był pani mąż...

- I co według pana zrobił mój mąż? Przywitał się z Manuelem?

- Wyjął z kieszeni pistolet...

- Jak w kinie...

- Interesuje mnie, gdzie był schowany pistolet Manuela... Zapewne w jakimś meblu... Ale równie dobrze w sypialni, jak i salonie...

- Trzeba by więc udowodnić, że w mieszkaniu była broń...

Zapaliła papierosa.

- ...I że ja tam byłam... I że przyszedł tam gość, którym był ni mniej, ni więcej tylko mój mąż... Źle się pan wybrał, komisarzu.

Maigret już miał odpowiedzieć, kiedy Line odezwała się lekko podnosząc głos:

- Wejdz, kochanie...

I natychmiast w otwartych drzwiach ukazał się Manuel; w szortach i w espadrylach, jakby wracał z plaży.

- No co, komisarzu, widzę, że podróżujemy?

Zmierzył Maigreta od stóp do głów ironicznym spojrzeniem, podszedł do baru i nalał sobie Toma Collinsa.

- Tobie też nalać, maleńka?

- Rzeczywiście chce mi się pić.

- A panu, panie glino?

- Nie.

- Jak pan chce... Tutaj nie ma mi pan co pokazywać swojego złotego

papierka... Jest pan daleko od swoich terenów łowieckich.

- Bez trudu mogę otrzymać rekwizycję sądową...

- Ale pan tego nie zrobi...

- Dlaczego?

- Dlatego, że nic pan nie ma przeciwko mnie...

- Nawet zeznania Pchły?

- Odnalazł go pan?

Zmarszczył brwi.

- Pchła jest na pewno człowiekiem, jeśli tak można powiedzieć, który najlepiej zna dziewiątą i osiemną dzielnicę. Ludzie też go znają i większość z nich jest gotowa mu pomóc... To nie pan go znajdzie, komisarzu. Znajdą go moi ludzie... Ale też nie uzyska pan żadnego dowodu... Widzi pan, że gram w otwarte karty... Gdybyśmy mieli świadków, potwierdziłbym raz jeszcze, że nie strzelałem, że nikt nie strzelał w moim mieszkaniu i że tamtej nocy Maurice nie przekroczył progu tego mieszkania. Moglibyśmy też powtórzyć, Line i ja, że nigdy nic między nami nie było, i nie radzę panu sprowadzać do sądu świadków, którzy by temu zaprzeczali.

Nie odgrywał komedii. Był tak arogancki i bezczelny, że Maigret zastanawiał się z niepokojem, skąd bierze się u niego ta pewność siebie. Można by rzec, że już niczego się nie obawia, a Line była tak spokojna, jakby niejaki Marcia w ogóle nie istniał. Komisarz natychmiast pomyślał o Pchle. Czyżby "moi ludzie", jak ich Manuel określał, dopadli w końcu karła? Czy unieszkodliwili go i uciszyli na zawsze?

Maigret nabił fajkę, zapalił, wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem.

- Istotnie jestem poza zasięgiem moich uprawnień. Nie mogę więc posłużyć się dokumentami, które pokazałem panu w Paryżu.

- Zgadza się.

- Wystarczy mi jeden telefon, żeby komisarz Boutang zjawił się tu w niecałe pół godziny z nakazem rewizji... Przypuszczam, że znacie Boutanga?

- Nie przyjaźnimy się...

- Więc wybierajcie... Albo oprowadzicie mnie po willi, albo dzwonię do Tulonu.

- Niech pan sobie zwiedza dom, proszę bardzo. Pod warunkiem, że nic pan nie wyniesie...

Od razu w dużym salonie komisarz dokonał małego odkrycia. Jedną ze ścian zasłaniała biblioteka, w której wszystkie książki, tak jak w Paryżu, były bogato

oprawne. A na dolnych półkach leżały stosy ilustrowanych pism. Nie były to tygodniki, dostępne we wszystkich kioskach, i nie pasowały do pana Maurice'a. Maigret odczytywał półgłosem tytuły, sprawdzając, czy te magazyny zostały przynajmniej przekartkowane:

- "Fermy i zamki" ... To bardzo pouczająca lektura, prawda?... "Życie na wsi" ... "Wiedza o sztuce" ...

Mori zmarszczył brwi i zerknął na kochankę.

- To moje - powiedziała. - Nie gram w karty, więc kiedy panowie rozgrywają partyjkę remika, siadam sobie i czytam...

Następnym pomieszczeniem była staromodna jadalnia w stylu prowansalskim, a z lewej strony widać było buduar, w którym każdy przedmiot, jak w mieszkaniu paryskim, mógłby stanowić obiekt muzealny.

- Autentyk? - zapytał Maigret wskazując obraz Van Gogha.

Odpowiedziała Line.

- Nie jestem ekspertem, ale mąż nie miał zwyczaju kupować falsyfikatów...

Kuchnia była obszerna, nowoczesna, idealnie czysta.

- Nie przyjmowała pani jednak wielu gości.

- Skąd pan wie?

- Zdążyłem zebrać informacje. Wiem też, że bracia Mori spędzali u pani co roku średnio miesiąc.

- Byli najlepszymi przyjaciółmi męża...

- Który prawdopodobnie nic nie wiedział o pani związku z Manuelem...

Manuel w dalszym ciągu nie reagował i w milczeniu wodził wzrokiem za Maigretem.

- Myli się pan. Mój mąż miał sześćdziesiąt dwa lata i użył już życia... W pewnym sensie był zmęczony... Może był we mnie zakochany, kiedy się ze mną żenił pięć lat temu, ale wkrótce po ślubie zaczęliśmy żyć jak brat z siostrą...

- Niech pani dalej opowiada te swoje kłamstwa. To mi nie przeszkadza.

Wszedł na marmurowy stopień i pchnął dwuskrzydłowe drzwi obszernej sypialni, do której przylegał taras z widokiem na morze.

- To pani sypialnia?

Stały tam dwa jednakowe łóżka i jak wszędzie wspaniałe meble. Łazienka była większa niż na ulicy Ballu, cała wyłożona bladożółtym marmurem.

- Jedna łazienka na was dwoje? Nie bardzo to pasuje do bajeczki o bracie i



siostrze...

- Może pan sobie myśleć, co pan chce...

Na piętrze były jeszcze dwie sypialnie, każda z osobną łazienką.

- To braci Mori, jak przypuszczam?

- Pokoje gościnne...

- Oprócz braci Mori dużo gości z nich korzysta?

- Zdarza się...

Prawie wszystkie obrazy były stare, Maigret nie znał ich autorów.

- Ma tu pani strych?

- Nie. Mansardy, w których sypia służba.

- Jest tu teraz?

- Nie. Wyjeżdżam wieczorem. Wystarczy jedna sprzątaczką, żeby utrzymać porządek w willi...

- Ale nie angażuje pani co roku tego samego personelu?

- Istotnie, czasem go zmieniamy.

- Tak więc przez większą część roku ten dom nie jest zamieszkały i nikt go nocą nie pilnuje.

Skinęła głową. Maigret dokończył nie bez ironii:

- Nie boi się pani włamywaczy?

- Nie odważyliby się porywać na dom mojego męża...

- Ani teraz, kiedy pani ten jego dom odziedziczyła...

Wrócili do salonu, ale Maigret zamiast skierować się do drzwi wyjściowych, usiadł z powrotem w fotelu, który poprzednio zajmował. Line i Manuel wymienili spojrzenia.

- Pozwolę sobie zauważyć, że nasz samolot czeka w Tulonie.

- Wasz samolot. Użyła pani liczby mnogiej. To znaczy, że Mori pojedzie z panią?...

- Czemu nie?

- Jako przyjaciel... oczywiście.

- Najwyższy czas zmienić płytę... Jesteśmy kochankami, to prawda...

- Tak lepiej.

- To nie dramat...

- O ile mąż nie dostaje kulą dużego kalibru prosto w serce...

Odwrócił się do Manuela.

- Nie skończyliśmy naszej poprzedniej rozmówki na ten temat. Stanęliśmy na tym, że narzuciwszy w pośpiechu szlafrok skierował się pan do drzwi. Oczywiście otworzył je pan...

- I co potem?

- To od pana oczekuję dalszego ciągu. Maurice Marcia nie został na schodach...

- Czy powiedziałem panu, że to był on?

- Załóżmy, że pan nie zaprzeczył. On nie zasiadł w salonie na pogawędkę... Przeciwnie, minął salon i wszedł do sypialni... Wystarczyło mu podnieść prześcieradło, żeby zobaczyć swoją żonę, jak ją Pan Bóg stworzył...

- Cóż za delikatność! - zauważyła ironicznie Line.

- Słowem, od chwili, kiedy tam wszedł, wiedział, co odkryje. Wiedział to już, kiedy wychodził z "Sardine".

- Wiedział o tym od trzech lat...

- Nie. Nie wmówicie mi, że był pobłażliwym mężem ani że był impotentem... Prawdopodobnie trzymał w ręce pistolet. A pan, panie Mori, miał swój pistolet w kieszeni szlafroka... Skąd pan go wziął?

- Nie miałem w mieszkaniu żadnej broni.

- W takim razie kto strzelił? Pistolet Marcii nie został użyty. A ten, który go zabił, prawdopodobnie leży gdzieś na dnie Sekwany...

- Powinien pan polecić, żeby go nurkowie odszukali.

Maigret podązał za swoją myślą nie dając się zbić z tropu.

- Zakładając, że poszedł pan otworzyć drzwi bez broni, co jest możliwe...

- Nareszcie!

- Nie skończyłem... Schwycił pan pistolet widząc, że Marcia zmierza do sypialni... Chyba że pistolet znajdował się w szufladzie nocnej szafki i że jakaś dobra dusza podała panu ten przedmiot, żeby się pan mógł bronić...

- Chciałbym usłyszeć tę historyjkę opowiadaną przed ławą przysięgłych...

- Istnieje inna możliwość...

- Jaka? Pan mnie doprawdy zaciekawia...

- Taka, że to nie pan strzelił...

- I oto na scenę wkracza nowy bohater, aby zagrać rolę zdrajcy...

- Nie... Podczas gdy pan otwierał drzwi, Line zdążyła schwycić broń, która znajdowała się w nocnej szafce... I kiedy Marcia panu zagroził, to ona...

- Zapewne trafiłaby w sufit, bo ona nigdy w życiu nie miała do czynienia z bronią palną...

- Jeszcze o tym porozmawiamy.

- Dobrze, w Paryżu.

- Ale tym razem u mnie w gabinecie.

- Czemu nie?

- Możliwe, że wyjdzie pan stamtąd w kajdankach.

- Próbuje mnie pan zastraszyć, to nieelegancko. A jakbym zaraz wyjechał z Francji?

- Interpol szybko by pana znalazł... zapomina pan, że figuruje pan w rejestrze, a poza tym rzuca się pan w oczy... Przypuszczam, że macie zamiar pobrać się za jakiś czas?

- Istnieje taka możliwość...

- No to lećcie tym swoim samolotem...

Manuel zakpił:

- Nie chce pan nam towarzyszyć?

Maigret spojrzał na niego ze spokojem, który go nie opuszczał tego popołudnia, ale czuło się, że ten spokój poprzedza burzę.

Zjadł supkę rybną w małej schludnej restauracji, jedynej w tej okolicy. Nie smakowała mu tak, jak się spodziewał. Wynikało to chyba z jego stanu ducha. Zapadła noc. Aleje wysadzone drzewami od strony morza były słabo oświetlone, dolatywał tu lekki szum fal. Usiadł na ławce. Powietrze było łagodne. Poczut się ociężały. Mało brakowało, a sprowadziłby panią Maigret z Paryża i spędziliby razem tydzień wakacji w Bandol.

Położył się nie za późno i natychmiast zasnął. Nazajutrz musiał wcześniej wstać, żeby zdążyć na samolot z Marsylii; na Orly wylądował o wpół do jedenastej. Wsiadł do taksówki i pojechał najpierw do domu. Żona nie powitała go wybuchem radości, ale z jej rozpromienionej twarzy wyczytał, że wraca do życia.

- Bardzo zmęczony?

- Trochę.

- Zrobić ci kawy?

- Dziękuję, muszę jechać do biura.

- Ciągle ta przekłeta sprawa?

- Właśnie, ta przekłeta sprawa, jak powiadasz...

- Wczorajsze gazety pisały o tobie. Podobno, jesteś bardzo tajemniczy, zatroskany, nawet zniechęcony i na pewno coś ukrywasz.

- Gdyby znali prawdę!... Nie wiem, czy uda mi się wrócić na obiad... Zależy, co mnie czeka w biurze... A propos... W najbliższym czasie musimy pojechać we dwoje do Bandol...

Wsiadł do małego samochodu czekającego przy krawężniku i wkrótce potem wchodził po szerokich schodach Quai des Orfevres. Na biurku piętrzyły się już stosy różnych dokumentów, raporty, kilka listów. Otworzył drzwi do pokoju inspektorów i zawołał Janvier.

- Podróż się udała, szefie?

- Owszem. Zgadnij, kto był w willi jeszcze przed panią Marcją?

- Oczywiście Mori.

- Zgadza się. Ależ on jest twardy, mówię ci. Będziemy z nim mieli jeszcze ciężką przeprawę, zanim zaczniesz śpiewać.

- Mam dla pana dobrą wiadomość... No, może w połowie dobrą... Rano dzwonił inspektor Louis. Spóźnił się o kilka godzin i nie zastał Pchły w kryjówce... Chce z panem porozmawiać. Będzie w biurze do południa, żeby mógł pan do niego zadzwonić...

- Zrób to za mnie. Powiedz, że wpadnę do niego...

Zasiadł przed otwartym oknem i patrzył znowu na "swoją" nadsekwański krajobraz z taką radością, jakby go nie widział od kilku tygodni. Powietrze było ciężkie. Zanosilo się na burzę, ale miała się zerwać dopiero wieczorem.

- Czeka na pana.

- Jedziesz ze mną? Będziemy mogli pogadać po drodze.

I rzeczywiście w czasie jazdy wtajemniczył Janvier w to, co się wydarzyło w Bandol. Zatrzymali się na chwilę przed komisariatem policji na placu Saint-Georges i pan Louis, jak go niektórzy ceremonialnie nazywali przekomarzając się z nim, wsiadł po chwili do ich samochodu.

- Chce pan zobaczyć, gdzie się ostatnio ukrywał?

- Tak...

- Wobec tego zatrzymamy się na samym szczycie Montmartre'u, na placu du Tertre.

Wzdłuż chodników ustawili się malarze, a stoliki z obrusami w czerwoną kratkę czekały na turystów.

- Niech pan skręci za róg ulicy du Mont-Cenis i zaparkuje na brzegu chodnika. Poniżej na tej ulicy wznosiły się stosunkowo nowe budynki mieszkalne, natomiast w górnej jej części większość domów zachowała dawny charakter. Inspektor Louis zaprowadził ich w alejkę między dwoma budynkami, w głębi widać było oszkloną pracownię.

Louis zapukał. Donośny głos krzyknął:

- Proszę wejść!

Znajdowali się w pracowni rzeźbiarza, który spoglądał na Maigreta mrużąc oczy, tak jakby patrzył na modela.

- Pan komisarz Maigret, chyba się nie mylę?

- Nie myli się pan.

- A to...

- Inspektor Janvier.

- Od lat nie było w mojej pracowni tylu ludzi...

Miał białe włosy, białą bródkę i wąsy, a policzki różowe jak u niemowlęcia.

- Pan Sorel jest najstarszym artystą Wzgórza - wyjaśnił inspektor Louis. - Od ilu to lat zajmuje pan tę pracownię?

- Pięćdziesiąt trzy lata... Różni tu się przewijali malarze, poczynając od Picassa, z którym często biesiadowałem.

Spojrzenie miał trochę naiwne, dziecinne.

Rozejrzawszy się po pracowni nie można było robić sobie złudzeń co do jego talentu. Rzeźbił

tylko głowy dziecięce, jakby tego samego dziecka z różnym wyrazem twarzy. Te popiersia były zapewne sprzedawane u handlarza obrazów na placu du Tertre.

- Podobno gościł pan u siebie Pchłę?

- Przez dwa dni i dwie noce... Wyszedł wczoraj wieczorem, jak się ściemniło... Boi się przebywać dłużej w jednym miejscu, bo mogą go namierzyć...

- Jak to się stało, że wybrał pana pracownię?

- Wie pan, ja go poznałem, kiedy nie miał jeszcze piętnastu lat. Był wtedy dzieckiem ulicy, radził sobie jak mógł i często nie dojadał. Spotkałem go pewnego dnia na placu du Tertre i zapytałem, czy chciałby mi pozować. Przyszedł. Pamiętam popiersie, jakie mu zrobiłem, jedno z moich najlepszych; znajduje się teraz Bóg wie w czyjej kolekcji. Te jego grymasy i te wielkie usta! To dlatego twarz kłowna wyszła mi lepiej, niż gdybym miał za modela prawdziwego kłowna z cyrku. To był dobry

chłopaczek. Od czasu do czasu pukał do moich drzwi, zwłaszcza w zimie, i pytał, czy może się przespać na słomiance... Słomianka należała do mojego psa, bo miałem psa, dużego bernardyna... Ale to już inna historia...

- Mówił panu o swoich kłopotach?

- Zapytał, czy mógłby się u mnie ukryć przez jedną lub dwie noce... Chciałem wiedzieć, czy to policja go ściga; powiedział, że przeciwnie, jest w bardzo dobrych stosunkach z inspektorem Louis i komisarzem Maigret... Dodął jeszcze, że właśnie dlatego pewni ludzie usiłują go dopaść.

- Nie powiedział panu, dokąd pójdzie po wyjściu stąd?

- Nie. O ile się mogłem zorientować, niedaleko. Zdaje się, że nie chce opuszczać Montmartre'u...

- Czy w ciągu tych dwóch dni mówił panu o kimś szczególnym?

- Owszem. O byłym policjancie, który jest teraz na emeryturze; w dzieciństwie doznał od niego wiele dobrego. Nie wiem, jak się nazywa... Nie znam go... Wychodzę z pracowni tylko po zakupy nie dalej niż sto metrów stąd i kiedy zanoszę rzeźby do handlarza.

Dopiero teraz jakby zauważył, że wszyscy trzej stoją.

- Przepraszam, że nie proponuję, byście, panowie, usiedli, ale nie ma tu dość krzeseł ani taboretów... A do picia mam tylko czerwone wino, to samo, które pijają Utrillo, mogłoby się wam wydać za cierpkie.

- Czy przez te dwie doby Pchła nie wychodził stąd?

- Nie. Ale bardzo się zdziwił i ucieszył, że mam telefon. Dzwonił do jakiejś kobiety, żeby jej powiedzieć, co u niego słysząc, a ja wyszedłem dyskretnie na podwórko zapalić fajkę... Mogę wam tylko powiedzieć, że bardzo się bał... nie mógł usiedzieć w miejscu... Przy byle hałasie zrywał się i co najmniej dziesięć razy pytał, czy nikt do mnie nigdy nie przychodzi... Kto miałby do mnie przyjść? Obywam się nawet bez sprzątaczk...

Maigret patrzył na niego z sympatią, bo był to rzeczywiście jeden z nielicznych żyjących jeszcze artystów dawnego Montmartre'u.

- Aha! Mówił o panu... Zdaje się, że ma pan kogoś aresztować, nie rozumiał, dlaczego pan tak z tym zwleka. "Jeśli komisarz się nie pospieszy, nie będzie miał żadnego świadka, bo mnie przedtem zabiją..."

Wychodząc, kiedy już uściśnął rękę starca na pożegnanie, Maigret wymamrotał pod nosem:

- Policjant na emeryturze...

- Zaczęłam już iść tym tropem - rzekł inspektor Louis ze zwykłą sobie flegmą.

- Istnieje prawdopodobieństwo, że jest to policjant z osiemnastki albo może z dziewiątki, bo nie przeprowadziłby się tak daleko... To dzielnice, po których Pchła lubił się włóczyć za młodu. Zaczęłam sprawdzać listę dzielnicowych, którzy w ciągu ostatnich dziesięciu lat przeszli na emeryturę... Nie znalazłem jeszcze takich, co by mieszkali na Montmartrze, ale po południu będę dalej szukał.

Oczywiście łatwiej by było, w takiej dzielnicy, w której wszyscy się znają, zwrócić się do pierwszej lepszej kobiety czy do sklepikarza. Ale czy nie zagrażałoby to Pchle?

- Gdzie pana podwieźć?

- Nigdzie... Zostanę w dzielnicy...

Miał swoje metody. Był jak pies myśliwski i czułby się nieszczęśliwy, gdyby musiał pracować w ekipie. Na pewno chciał znowu zrobić rundę po okolicznych barach, przepłukać sobie żołądek wodą Vichy podsłuchując rozmowy klientów.

- Do Blanche Pigoud, na ulicę Fromentin...

Maigret też zaczynał się niepokoić o los Pchły, ale na nic by się zdało wysłanie na poszukiwania dziesięciu czy dwudziestu ludzi.

- Jak tam bracia Mori? Ciągłe pilnowani?

- Inspektorzy się zmieniają. Podczas nieobecności brata Jo spędził trochę czasu na ulicy du Caire, potem odjechał ciężarówką i koło ósmej wieczorem wrócił bez skrzyń. Spuścił żelazną kratę i wstąpił do siebie, żeby wziąć prysznic i przebrać się. Wie pan, gdzie jadł kolację?

- Tak. W "Sardine"...

- Jak pan to odgadł?

- Bo już prawie wszedł w jej posiadanie...

- A Manuel?

- To jeszcze prostsze... Kolację zjadł też w "Sardine" w towarzystwie Line...

Ona pewnie pierwszy raz jadła coś w restauracji swojego męża... Biedny Marcia nie wiedział jeszcze, że ona tu będzie wkrótce szefową...

- Można by rzec, że umyślnie zachowują się wyzywająco. Jestem przekonany, że personel był oburzony widząc ją w dniu pogrzebu w towarzystwie braci Mori...

- Manuel gwizdże sobie na to, co myśli personel. Jeśli pracownicy odejdą, zastąpi ich swoimi ludźmi... Prawdopodobnie taki ma zamiar... Założę się, że spał na

ulicy Ballu...

- Zgadł pan... Z tego, co wiem, nadal tam jest.
- A jednak coś tu nie gra - rzekł do siebie półgłosem Maigret.
- W związku z Pchłą?
- Z Pchły nie ma żadnego pożytku, dopóki się z nim nie skontaktujemy... Nie!

Ale jest tu gdzieś jakaś luka... Nie daje mi to spokoju...

- Mam wejść z panem?
- Może lepiej nie... Mimo swojego zawodu ta dziewczyna jest dość delikatna...

Ze mną już się oswoiła, ale jak się zjawimy we dwóch...

Tym razem młoda przyjaciółka Pchły już wstała i właśnie jadła śniadanie koło okna.

- Napije się pan kawy? Jest gotowa.
- No to chętnie...

Wydawała się zatroskana.

- Miał pan wiadomości od niego, komisarzu?
- Wiem, gdzie spędził dwie ostatnie noce, ale wczoraj wieczorem zwiął...
- W jakiej dzielnicy?
- Niedaleko placu du Tertre, u starego rzeźbiarza...
- To dziwne. Mówił mi o nim raz, kiedy byliśmy na kolacji pod SacreCoeur.

Przypomniało mu się dzieciństwo. Opowiadał mi o słomiance, na której nieraz sypiał, należała do wielkiego psa...

- Nie mówił pani o nikim innym z tej dzielnicy?
- Nie pamiętam... Chyba nie...
- Na przykład o byłym policjancie?
- Nie, naprawdę, z nikim mi się to nie kojarzy.
- Dzwonił do pani?
- Dwa razy.
- Co mówił?
- Coraz bardziej się boi. Nie rozumie, dlaczego nie aresztujecie braci Mori. Ich

banda miałyby się na baczności i Justin mógłby odetchnąć...

- Ma do mnie żal?
- Myślę, że trochę tak. Gniewa się też na inspektora Louis. Powtórzyłam mu

to, co mi pan powiedział...

- Niech pani posłucha... Najprawdopodobniej znowu do pani zadzwoni, chyba



że tam, gdzie przebywa, nie ma telefonu. Proszę mu powiedzieć, żeby zatelefonował do mnie... Wy tłumaczę mu wszystko, to się uspokoi.

- Naprawdę?

- Muszę z nim odbyć rozmowę; możliwe, że w dwie godziny potem bracia Mori znajdą się pod kluczem...

- Powiem mu. Zrobię, co będę mogła... Niech pan wejdzie w jego położenie. On nie wierzy już w nic ani w nikogo...

Kwadrans później Maigret i Janvier siedzieli przy barze w "Sardine". O tej porze nakrywano do obiadu. Przy kasie stał maitre d'hotel i przyjmował rezerwacje.

- Dla mnie piwo, Freddy.

- A dla pana? - spytał Freddy Janvier.

- To samo.

- Mamy już tylko zagraniczne.

- Nie szkodzi.

Można było odnieść wrażenie, że obsługuje ich niechętnie. Raz po raz spoglądał w stronę drzwi, jakby się obawiał, że zobaczy w nich któregoś z braci Mori.

- Nigdy nie widziałem takiego tłumu na pogrzebie - bąknął Maigret, jakby chciał go skłonić do mówienia.

- Tak, były tłumy.

- I prawie tyle samo ludzi było w Bandol. Zjechali ze wszystkich stron, z Nicei, Cannes, Tulonu, Marsylii... A jakie samochody! Naliczyłem co najmniej pięć ferrari...

Freddy starannie wycierał szklanki. Comit, maitre d'hotel, skończył rozmawiać przez telefon, ale zamiast podejść do nich, został w głębi sali z taką miną, jakby ich ignorował...

- Chłodno dzisiaj - odezwał się ironicznie Maigret.

Termometr wskazywał chyba dwadzieścia pięć stopni w cieniu.

- Tak, chłodno...

- To co, widział pan wreszcie szefową?

- Jaką szefową?

- Line Marcia... Była tu wczoraj wieczorem na kolacji z braćmi Mori...

Chociaż... to raczej Manuel jest szefem.

- Niech pan posłucha, panie Maigret... Nie mieszam się do waszych spraw...

Niech pan się nie miesza do tego, co się tu dzieje... Przede wszystkim, gdyby zobaczono, że z panem rozmawiam, mógłbym mieć przykrości... Panu też pewnie nie wyszłoby to na dobre...

Komisarz i Janvier wymienili spojrzenia.

- Janvier, poczekasz na mnie chwilę?

Maigret skierował się w stronę toalety. Żeby tam dojść, musiał przejść koło Comitata.

- Dzień dobry, panie Raoul - rzucił.

- Freddy chyba panu powiedział, że nie jest pan tu mile widziany...

- Istotnie... Zmiana właściciela... I od razu wszyscy w lokalu trzęsą portkami.

- Byłbym zobowiązany, gdyby pan tu już nie przychodził.

- Zapomina pan, że jest to miejsce publiczne, otwarte dla wszystkich, którzy są właściwie ubrani i mają odpowiednio napełnione portfele...

Wszedł do toalety, potem wrócił do baru. Było przeszło kwadrans po dwunastej.

- Wiesz, co zrobimy, Janvier? Zjemy tu obiad...

Podeszli do najbliższego stolika. Comitatus jednym susem znalazł się przy nich.

- Przepraszam, ale ten stolik jest zamówiony.

- To usiądziemy przy sąsiednim...

- Ten też jest zamówiony... Wszystkie stoliki są zarezerwowane.

- Założmy więc, że ten jest zarezerwowany przeze mnie... Siadaj, Janvier...

Maigret nie żartował. Był wściekły. I chciał ich także wyprowadzić z równowagi.

- Proszę mi podać kartę... I niech pan nie zapomina, że mogę kazać zamknąć knajpę w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Karta była ogromna, na ostatniej stronie widniała lista win.

- Są muszle Saint-Jacques, Janvier. Co ty na to?

- Mogą być muszle Saint-Jacques.

- Dalej... duszona wołowina.

- Też może być...

Dotarł do ostatniej strony.

- Jakieś lekkie wino... Beaujolais?

- Chętnie...

Matre d'htel stał za nimi sztywny jak patyk. Weszło czterech klientów i usiadło

koło okna. Mała ciemnowłosa kasjerka zajęła swoje miejsce, ale nie zareagowała na pozdrowienie Maigreta. Jakby go nie poznawała.

Pan Maurice umarł. Za jego życia w "Sardine" nikt nie podskakiwał, ale też atmosfera była przyjazna. Wczoraj wieczorem Mori przyszedł tu w towarzystwie pani Marcia, by objąć w posiadanie lokal, i wszyscy zrozumieli, o co chodzi. Odtąd mieli być potulni. I już zaczęli być potulni. Dobrze, jeśli mijając się, wymieniali szeptem kilka słów.

- O co się założysz, że nie obsłużą nas wcześniej niż za pół godziny albo i za godzinę?

I rzeczywiście czterej goście przy oknie zostali obsłużeni najpierw, potem dwaj Anglicy, którzy dopiero co przyszli. Lokal stopniowo się wypełniał i im dłużej zwlekano z obsłużeniem ich, tym szerzej Maigret się uśmiechał, ostentacyjnie paląc fajkę.

- Niech się pan nie spieszy! - powiedział Comitadowi, kiedy ten przechodził obok.

- Nie, panie komisarzu, nie mam zamiaru.

Bracia Mori nie zjawili się i Maigret z Janvierem dostali w końcu jeść i pić.

## Rozdział 6

Kiedy Maigret wrócił na Quai des Orfevres, było już po trzeciej i pierwszą osobą, jaką zobaczył, był niezawodny inspektor Louis. Siedział na jednej z ławek w korytarzu trzymając swój czarny kapelusz na kolanach. Komisarz zaprosił go do gabinetu i Louis znowu przycupnął na brzegu krzesła.

- Zdaje się, że miałem szczęście, panie komisarzu...

Mówił ściszym głosem ludzi nieśmiałych, rzadko spoglądał prosto w twarz rozmówcy.

- Kiedy się rozstaliśmy dziś rano, zrobiłem kolejny obchód barów i kawiarni Wzgórza Montmartre w okolicach placu du Tertre... Wiem, że to moja mania... Doszedłem do bistra "Trois Tonneaux" na ulicy Gabrielle, które ma stałych bywalców. Stałem jak zawsze przy kontuarze i zamówiłem swoją wodę Vichy.

Maigret wiedział, że nie ma co go popędzać. Inspektor mówił z tą swoją powolnością i troską o precyzję, leżało to w jego charakterze.

- W kącie pod ściennym zegarem reklamowym czterech starszych mężczyzn grało w belotkę... Na pewno od lat rozgrywali partyjkę w tym samym miejscu i o tej samej porze. Aż podskoczyłem, kiedy usłyszałem: "Teraz ty, brygadierze". Człowiek, do którego tak się zwracali, miał z siedemdziesiąt, siedemdziesiąt pięć lat, ale był jeszcze dziarski. W ciągu dziesięciu minut trzy razy nazwali go brygadierem. "Czy on jest z policji?" - zapytałem po cichu właściciela. - Czterdzieści lat pracował w policji. Taki gliniarz starej daty... Znana postać w dzielnicy, a dla dzieciaków był jak ojciec. - Od dawna jest na emeryturze? - Co najmniej od dziesięciu lat i codziennie przychodzi tu na karty. Mieszka teraz sam, bo jego syn się ożenił i wyjechał do Meaux. Córka jest pielęgniarką w szpitalu Bichat. Ma też drugiego syna, nie wiem, co robi, ale chyba nic dobrego... - Mieszka gdzieś w okolicy? - Niedaleko... Na ulicy Tholore... Naprzeciwko restauracji z dansingiem, jedynej na tej ulicy... Żona umarła mu pięć lat temu, sam sobie gotuje i sprząta. Dużo tu takich staruszków i staruszek, co to żyją samotnie ze skromnej emerytury..."

Maigret wystarczająco dobrze znał Montmartre, wiedział, że jest to miasto w mieście. Niektórzy jego mieszkańcy nie zapuszczają się dalej niż na plac Clichy.

- Dostał pan jego dokładny adres?

- Wyszedłem z bistra, żeby nie zwracać uwagi. Ten człowiek wyszedł pół godziny po mnie i wstąpił do sklepu, gdzie kupił dwa kotlety... Szedłem za nim do ulicy Tholore w bardzo dużej odległości, bo przecież z pewnością zna się na inwigilacji... Wszedł do trzypiętrowej kamienicy dokładnie naprzeciwko "Tam-Tam". Zatelefonowałem na komisariat osiemnastki, żeby mi przysłali inspektora na godzinę lub dwie... Przyszedł młody chłopak i stoi teraz na straży przed domem.

Louis zamilkł. Wszystko już powiedział, na swój sposób.

- Słyszałeś, Janvier?

Bo Janvier wszedł do gabinetu razem z komisarzem.

- Jedziemy tam?

- Oczywiście.

- Bierzemy ludzi?

- Nie warto... Trzeba przeprowadzić operację możliwie najdyskretniej...

Wzięli jeden z małych czarnych samochodów zaparkowanych na dziedzińcu Policji Kryminalnej.

- Ulica Tholore ma zdaje się jeden kierunek?

- Nie może być inaczej, bo na końcu są schody.

Z daleka zauważył młodego policjanta, który stał w pewnej odległości od domu.

- Wejść sam - rzekł Maigret. - Nie ma co płoszyć.

Zwrócił się do dozorczyń, pokazał swój numer policyjny.

- Brygadier jest w domu?

- Pan Colson? Prawda, że wszyscy w dalszym ciągu nazywają go brygadierem... Wrócił mniej więcej dwie godziny temu. Teraz pewnie odpoczywa.

- Które piętro?

- Drugie, drzwi po lewej...

Dom oczywiście bez windy, stary, jak prawie wszystkie domy na tej ulicy; na schodach unosiły się gęste zapachy kuchenne.

Nie było dzwonka, więc Maigret zapukał do drzwi.

- Proszę... - odezwał się niski głos.

Mieszkanie małe, zastawione meblami jak w przeciętnym gospodarstwie domowym. W sypialni, która znajdowała się po prawej stronie, stały dwa łóżka, jedno służyło zapewne kolejno trójce dzieci. Wszystko było podwójne albo potrójne.

Lodówkę zastępowała szafka zawieszona za oknem.

- Niemożliwe!... Komisarz Maigret u mnie! Proszę, niech pan wejdzie. Jest tu ktoś, kto się ucieszy...

Wprowadził komisarza do dusznego pokoju, który był jednocześnie jadalnią i salonem. Człowiek mierzący niespełna półtora metra, wyglądający zrazu na chłopaka z pomarszczoną twarzą, patrzył na gościa z niepokojem.

- Aresztował go pan? - zapytał z miejsca.

- Jeszcze nie, ale nic ci nie grozi...

Włączył się brygadier Colson.

- Dziesięć razy mu powtarzałem, że powinien do pana zadzwonić i powiedzieć, gdzie jest... Przyszedł tu całkiem roztrzęsiony... Ma pietra przed braćmi Mori... Tak się nazywają? Za moich czasów nie byli znani...

- Mają dopiero po trzydziestce...

- Oglądam wieczorem telewizję, ale gazet nie czytam... Justin przypomniał sobie o mnie. Poznałem go, kiedy jeszcze wałęsał się po dzielnicy w starych espadrylach...

- Co pan ze mną zrobi?

Pchła był spięty, na próżno usiłował się opanować.

- Pojedziemy obaj na Quai des Orfevres. Porozmawiamy w cztery oczy w moim gabinecie. Prawdopodobnie po naszej rozmowie bracia Mori zostaną aresztowani...

- Jak pan mnie znalazł?

- To inspektor Louis trafił na twój ślad...

- Inni też mogli trafić...

- Dziękuję panu za gościnność, jakiej pan mu udzielił, brygadierze. Mam nadzieję, że kotlety były dobre...

- Skąd pan wie?

- Też dzięki inspektorowi Louis... I niech się panu powiedzie jutro w belotce! Odwrócił się do karła, który ciągle jeszcze był spięty:

- A ty chodź z nami.

Emerytowany policjant odprowadził ich do drzwi i nie bez pewnej melancholii patrzył, jak idą po schodach w dół.

- Wsiądź do samochodu...

Pchła znalazł się na tylnym siedzeniu obok inspektora Louis.

- A ja myślałem, że się tak dobrze ukryłem! - westchnął pod adresem inspektora.

- Zupełnie przypadkiem trafiłem na trop brygadiera.

Pchła trzymał się jak mógł najdalej od okna w obawie, żeby go nie zobaczono z ulicy.

Na Quai des Orfevres weszli razem głównymi schodami, na które Justin patrzył jakby z bojaźliwym szacunkiem. Maigret zawahał się przy kolejnym stopniu: czy wszyscy trzej mają pójść do gabinetu, czy lepiej przesłuchać Justina Crotton sam na sam.

Zdecydował się na to ostatnie.

- To na razie, zobaczymy się później - rzekł do Louisa i Janvier... - A ty wejdź...

O mało nie powiedział "mój mały", ale zdążył się powstrzymać.

- Usiądź. Palisz?

- Tak.

- Masz papierosy?

- Zostały mi tylko dwa.

- Weź tę paczkę.

Maigret zawsze trzymał kilka paczek papierosów w szufladzie dla swoich ewentualnych rozmówców.

- Co pan...

- Chwileczkę...

Zobaczył na biurku notatkę: "Laboratorium prosi o telefon". Polecił, żeby go połączono z Moersem.

- Ma pan coś nowego?

- Tak. Porządnie się napracowaliśmy. Człowiek od tkanin poszedł do największego handlarza dywanów w Paryżu. Jego pierwsze wrażenie potwierdziło się. Strzępki jedwabiu pochodzą ze starego chińskiego dywanu, z XVI lub XVII wieku. Poza muzeami jest ich we Francji najwyżej trzy, cztery sztuki. Handlarz nie wie, kto je posiada. Ma się rozejrzeć... Ale jest coś ważniejszego... Na mokiecie, w miejscu, gdzie leżał dywan, znaleźliśmy drobne ślady krwi. Ta krew jest w znacznym stopniu rozpuszczona w wodzie... Pewnie zmywano plamę kilkakrotnie szczotką ryżową, bo znaleziono też kawałeczek włókna.

- Czy możliwe jest określenie grupy tej krwi?

- Już to zrobiliśmy. Grupa AB.

- Niestety nikt nie wpadł w porę na pomysł zbadania krwi pana Maurice'a...

Chyba że lekarz sądowy...

- Tak. Może on o tym pomyślał... Dostał pan jego raport?

- Nic o tym nie pisze.

Pchła patrzył na komisarza, jakby ciągle nie pojmował, co się z nim dzieje.

Ale dlaczego nie mógł odzyskać spokoju? Czego się jeszcze bał?

Maigret otworzył drzwi.

- Janvier, spróbuj skontaktować się jak najszybciej z lekarzem sądowym.

Zapytaj go w moim imieniu, czy pomyślał o analizie krwi pana Maurice'a. Jeśli nie, to niech ci powie, co zrobiono z jego ubraniem.

Około dwudziestu inspektorów pisało na maszynie swoje raporty, a pośród nich siedział na krześle Louis, wyprostowany, z kapeluszem na kolanach.

Wróciwszy do gabinetu, komisarz rzekł do Pchły:

- Która to godzina?... Czwarta... Mamy jeszcze szansę zastać w domu twoją przyjaciółkę...

I rzeczywiście, w słuchawce odezwał się głos Blanche Pigoud.

- To ty, Justin?

- Nie... Tu komisarz Maigret...
  - Ma pan wiadomości?
  - Jest w moim gabinecie.
  - Sam tam przyszedł?
  - Nie... Trzeba było po niego pojechać...
  - Gdzie był?
  - Na Montmartrze, tak jak się spodziewałem.
  - Aresztował pan tych...
  - Braci Mori... Nie... Nie wszystko naraz... Oddaję słuchawkę Justinowi...
- Dał znak Pchle, żeby podszedł.
- Halo... To ty?
- Był przejęty, rozdygotany.
- Na razie nie wiem... Jestem tu prawie kwadrans, a jeszcze mi nie zadali

żadnego pytania... Czuję się dobrze, tak... Nie... Nie wiem, kiedy wrócę... Do widzenia...

- Niedługo już będzie pani na niego czekała - rzekł Maigret odbierając Pchle słuchawkę. - W każdym razie może pani być spokojna.

Odłożył słuchawkę i powoli zapalił fajkę, patrząc uważnie na Justina Crotton. Nie mógł sobie wytłumaczyć, dlaczego ten człowieczek nadal okazuje nerwowość.

- Ciągłe się tak trzęsiesz?
- Nie.
- Teraz kiedy już jesteś w moim gabinecie, czego się boisz? Mnie?
- Może.
- Dlaczego?
- Bo pan budzi we mnie strach... Wszystko, co się wiąże z policją, budzi we

mnie strach...

- A przecież ostatnio ukrywałeś się u byłego brygadiera...

- Dla mnie brygadier Colson nie jest prawdziwym policjantem. Poznałem go, jak miałem szesnaście lat, i dzięki niemu nigdy nie byłem sądzony za włóczęgostwo.

- A ja?
- Pan jest taki ważny.
- Jak się dowiedziałeś, że Line Marcia jest kochanką Manuela?
- Wszyscy o tym mówią po knajpach...
- A pan Maurice przez trzy lata nie miał o tym pojęcia?



- Chyba nie...

- Nie jesteś pewny?

- Tak to już jest, że mąż dowiaduje się ostatni, prawda? Pan Maurice był człowiekiem bogatym, wpływowym. Myślę, że nikt nie ośmieliłby się powiedzieć mu wprost: "Żona zdradza pana z jednym z przyjaciół".

- Marcia i bracia Mori przyjaźnili się?

- Od kilku lat tak...

- Skąd wiesz?

- Bo bracia Mori przychodzili regularnie do "Sardine" i pan Maurice przysiadł się do ich stolika. Zdarzało się, że zostawali po zamknięciu.

- Chodzili też na ulicę Ballu?

- Kilka razy ich tam widziałem.

- Kiedy Marcia był w domu?

- Tak.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Bo kręcę się tu i ówdzie... Mam duże uszy... Słucham, co mówią. Nikt mnie nie unika.

- Często bywałeś w "Sardine"?

- Tak, w barze... Freddy to prawie kumpel.

- Wątpię, czy jest nim nadal...

- Tamtego wieczoru byłem na ulicy Fontaine. Pan Maurice wyszedł w pośpiechu o nietypowej dla niego godzinie.

- O której?

- Trochę po północy... Nie wziął samochodu, tylko szybkim krokiem ruszył w stronę skweru La Bruyere.

- Wiedziałeś, że jego żona jest w mieszkaniu Manuela?

- Tak.

- Jak odgadłeś, że jest tam właśnie tego wieczoru?

- Bo ją śledziłem.

- Tak więc to twoja mania, śledzić i obserwować ludzi?

- Zawsze marzyłem, żeby zostać policjantem. Ale wzrost mi w tym przeszkadzał... Może też brak wykształcenia.

- Dobrze... Śledzisz pana Maurice'a. On wchodzi do domu Manuela... W oknach paliło się światło?

- Tak...
- Jak długo Line tam była?
- Godzinę.
- Nie wszedłeś do budynku?
- Nie.
- Domyślałeś się, co się wydarzy?
- Tak... Nie wiedziałem tylko, który z nich zostanie zabity...
- Słyszałeś strzał?
- Nie. Lokatorzy też nie, albo myśleli, że to rura wydechowa samochodu.
- Mów dalej.
- Po jakimś kwadransie pani Marcia wyszła i szybkim krokiem skierowała się

do domu.

- Poszedłeś za nią?
- Nie... Wolałem zostać.
- Co się potem stało?
- Przyjechał samochód na pełnym gazie, o mało mnie nie potrafił. To był drugi Mori, Jo... Brat pewnie zatelefonował po niego...

Maigret słuchał tej opowieści z rosnącym zainteresowaniem. Jak dotąd nie dopatrywał się w niej żadnych niedomówień, niemniej czuł się jakoś nieswojo.

- I co dalej?
- Wyszli obaj niosąc zrolowany dywan, w którym było coś ciężkiego...
- Ciało Marcii?
- To prawie pewne. Wnieśli ten dywan do samochodu i odjechali w stronę placu Constantin-Pecqueur. Nie miałem wozu, więc nie mogłem ich śledzić.
- Co zrobiłeś?
- Zostałem tam i czekałem.
- Długo ich nie było?
- Prawie pół godziny.
- Odnieśli dywan?
- Nie. Już go nie widziałem. Weszli obaj do mieszkania i Jo wyszedł dopiero po godzinie...

Wszystko się zgadzało. Dwaj mężczyźni zawieźli najpierw ciało w najciemniejszą część avenue Junot. A dywan według wszelkiego prawdopodobieństwa wrzucili do Sekwany. Wróciwszy na skwer La Bruyere

starannie zatarli ślady po tym, co się tu wydarzyło.

- Co potem zrobiłeś?
- Poczekalem do rana, żeby zatelefonować do inspektora Louis.
- Dlaczego do niego, a nie na przykład do komisariatu albo do Policji

Kryminalnej?

- Bo policji się boję.
- I rzeczywiście był zastraszony.
- Nie po raz pierwszy do niego dzwoniłeś?

- Nie. Od dawna dostarczam mu w ten sposób informacji... Znam go z widzenia. Chodzimy mniej więcej w te same miejsca... Zawsze jest w pojedynkę.

- Dlaczego zniknąłeś?
- Bo nie miałem wątpliwości, że bracia Mori pomyślą o mnie...  
Maigret zmarszczył brwi. Był to najmniej przekonujący szczegół tego

zeznania.

- Z jakiego powodu mieliby pomyśleć o tobie? Utrzymywałeś z nimi jakieś stosunki?

- Nie... Ale widzieli mnie w barach... Wiedzieli, że znam każdy kąt

Montmartre'u i że jestem dobrze poinformowany...

- Nie - rzucił nagle Maigret.

Pchła spojrział na niego w osłupieniu, potem z obawą.

- O co panu chodzi?
- Jeżeli zdecydowali się ciebie sprzątnąć, to musieli mieć przeciw tobie coś

jeszcze...

- Przysięgam...
- Nigdy się do nich nie odezwałeś?
- Nigdy... Może ich pan zapytać...

Kłamał i Maigret to wyczuwał, nie miał jednak dowodów.

- No to ich aresztujemy. Na razie chodź ze mną do sąsiedniego pokoju.
- Siedź tu spokojnie i czekaj na mnie. Może któryś z inspektorów pożyczyci ci

gazetę.

- Nie lubię czytać...
- Dobrze... Nie przejmuj się.

Maigret dał znak Janvierowi, by poszedł z nim do jego gabinetu.

- Dzwoniłeś się do instytutu medycyny sądowej?

- Rozmawiałem z samym doktorem Bourdet... Ubranie i bielizna zostały u nich... Krew ma grupę AB.

- Czyli tę samą co krew na dywanie...

- Tylko że to chyba najczęściej występująca u nas grupa krwi.

- Wstąpię do sędziego śledczego, a potem na pewno będę potrzebował ciebie i Lucasa... Lapointe'a także...

Maigret znalazł się w długim korytarzu wydziału śledczego, gdzie prawie wszystkie ławki były zajęte przez ludzi, którzy czekali swojej kolejki, by stawić się przed sędzią. Jedni siedzieli z kajdankami na rękach pilnowani przez żandarmów. Inni mieli odpowiadać z wolnej stopy lub jako świadkowie, ich spojrzenia były żywsze.

Maigret zapukał do drzwi sędziego Bouteille, wszedł, zastał go w trakcie dyktowania czegoś kanceliście.

- Przepraszam bardzo...

- Niech pan siada. Ciągłe te papiery urzędowe... Użył pan moich nakazów?

- Tylko nakazu rewizji... Z sypialni starszego z braci Mori zniknął stary chiński dywan... Na mokiecie, w miejscu, gdzie był ten dywan, znaleziono kilka plam, które okazały się plamami krwi... Grupy AB... Otóż ubranie Marcii, zbadane przez doktora Bourdet, poplamione jest w miejscu zranienia krwią tej samej grupy.

- Ale zdaje pan sobie sprawę, że to nie jest żaden dowód...

- To wskazówka... Jest jeszcze inna: w noc po pogrzebie Mori spał na ulicy Ballu i obaj bracia

w pewnym sensie zawładnęli "Sardine".

- Odnalazł pan tego karła? Jak to go przezywają?

- Pchła... Jest na dole, pod dobrą opieką... Potwierdza, że kilka minut po północy widział, jak pan Maurice wchodził do budynku na skwerze La Bruyere, gdzie mieszka starszy Mori... Kwadrans później Line Marcia wyszła stamtąd i szybkim krokiem poszła w stronę domu... Następnie młodszy Mori przyjechał samochodem, zapewne wezwany telefonicznie. Pół godziny później obaj bracia zeszli niosąc ciężki pakunek, który załadowali do wozu. Pchła nie mógł ich śledzić aż do avenue Junot, bo nie miał samochodu, ale twierdzi z całą pewnością, że ciało było owinięte kolorowym dywanem...

- Ma pan zamiar ich aresztować?

- Po południu... Chciałbym natomiast dostać jeszcze jeden nakaz, na nazwisko Line Marcia...

- Myśli pan, że to ona...?

- Na pewno jest współniczką... Podejrzewam, że podała broń kochankowi.

Zastanawiam się nawet, czy to nie ona strzeliła...

Funkcjonariusz wymiaru sprawiedliwości odwrócił się do kancelisty.

- Słyszał pan... Proszę wypisać nakaz. Mam wrażenie, że będą się opierać...

- Też się tego spodziewam. I byłoby nieostrożnie wysłać ich przed ławę przysięgłych bez solidnych dowodów, bo oni zafundują sobie nie tylko najlepszych adwokatów w Paryżu, ale tylu fałszywych świadków, ilu im będzie trzeba...

Potem Maigret wrócił do swojego gabinetu i zrobił coś, co zdarzało mu się rzadko: wyjął z szuflady pistolet i włożył go do kieszeni. Następnie wezwał Lucasa, Janviera i Lapointe'a.

- Wejdźcie, chłopcy... Tym razem gramy na całego. Janvier, ty idziesz ze mną. Weź pistolet, bo z tymi ludźmi wszystko jest możliwe. Wy dwaj też - zwrócił się do Lucasa i Lapointe'a. - Pojedźcie na ulicę du Caire. Najprawdopodobniej zastaniecie tam młodszego Mori. Jak nie, to spróbujcie znaleźć go w domu, Htel des Iles, avenue Trudaine... A gdyby i tam go nie było, zajrzyjcie do "Sardine"... Tu jest nakaz aresztowania na jego nazwisko. Weźcie kajdanki. Ty też, Janvier...

Rozstali się na dziedzińcu i dwa czarne samochody odjechały każdy w swoim kierunku.

- Gdzie jedziemy?

- Najpierw do Manuela...

Dozorczyńni powiedziała im, że chyba go nie ma, ale że na pewno jest gosposia. Weszli na górę. Gosposia była przerażająco chuda, nie wiadomo, w jaki sposób trzymała się na nogach. Miała koło sześćdziesiątki i chyba była chora. Robiła wrażenie osoby zgorzkniałej i napastliwej.

- Panowie w jakiej sprawie?

- Do Manuela Mori.

- Nie ma go.

- O której wyszedł?

- Nie wiem.

- Nie spał dzisiaj we własnym łóżku?

- To nie wasza sprawa.

- Jesteśmy z policji.

- Z policji czy nie z policji, to nie wasz interes, w jakim łóżku człowiek sypia.

- Zauważyła pani, że zniknął dywan, który leżał w sypialni?

- No i co z tego? Jak zrobił dziurę papierosem i oddał go do reperacji, to jego sprawa.

- Pani chlebodawca jest dla pani miły?

- Jak mur więzienny...

Pasowali do siebie.

- To co, zostajecie tu? Bo ja muszę odkurzać, nie mam czasu...

Kilka minut później komisarz i inspektor zatrzymali się przed domem zamordowanego.

- Pani Marcia jest u siebie? - spytał Maigret dozorczyńni.

- Zdaje się, że nie, wychodziła... Chociaż zawsze można przejść przez drzwi od ogrodu, które są otwarte...

- W dzień i w nocy?

- Tak.

- Więc pani nie wie, kto wchodzi i kto wychodzi?

- Mało kto z lokatorów korzysta z tamtych drzwi...

- Podejrzewam, że pani Marcia nie była sama tej nocy.

- Ja też podejrzewam...

- Czy widziała pani jakiegoś mężczyznę wychodzącego rano?

- Nie. Możliwe, że jest jeszcze na górze... Z tego, co mówi pokojówka, można się spodziewać, że będzie nowym lokatorem...

- Komu pokojówka była bardziej oddana?

- Raczej panu Maurice'owi.

- Dziękuję pani.

Maigret i Janvier weszli na pierwsze piętro. Maigret zadzwonił i upłynęło kilka minut, zanim się ktoś odezwał.

- My do pani Marcia.

- Nie wiem, czy będzie mogła panów przyjąć, ale proszę wejść.

Wprowadziła ich do dużego salonu, który odzyskał swój zwykły wygląd.

- Musimy tu jeszcze przyjść z ekspertami od starych mebli - szepnęła Maigret, kiedy czekali.

Zamiast Line w drzwiach stanął Manuel Mori.

- Panowie znowu!

- Pytałem o Line Marcia...

- Ona nie ma najmniejszej ochoty was przyjąć, a ja nie pozwolę jej niepokoić.
- Muszę jednak niepokoić was oboje. W imieniu prawa aresztuję pana.
- Ach tak, ten słynny nakaz...
- Tym razem to inny nakaz, na nazwisko Line Marcia, z domu Polin.
- Ośmielacie się...
- Ośmielam się i radzę panu nie stawiać oporu. Może to pana bardzo drogo

kosztować...

Manuel zrobił ruch ręką, jakby chciał sięgnąć do kieszeni, w której rysował się wyraźnie kształt rewolweru. Maigret rzekł łagodnie:

- Opuść łapy, chłopcze...

Manuel zbladł.

- Lepiej trzymaj go na muszce, Janvier...

A sam zaczął szukać guzika dzwonka, znalazł go przy ogromnym kominku i nacisnął. W progu stanęła osłupiała pokojówka.

- Proszę iść po panią Marcia... Niech weźmie przybory toaletowe, ubranie i bieliznę na pewien czas...

Line przyszła po chwili z pustymi rękami.

- Co to za...

Urwała na widok Janviera z pistoletem w dłoni.

- Tu jest nakaz na pani nazwisko. Przyszedłem was oboje aresztować.

- Ale ja nic nie zrobiłam!

- Była pani co najmniej świadkiem morderstwa i usiłowała pani kryć winnego... To się nazywa współudział.

- Jeśli każda kobieta, która ma kochanka, może być...

- Nie wszyscy kochankowie strzelają do mężów... Niech pani idzie po rzeczy. Chwileczkę... Oddaj broń, Manuel...

Mori zawahał się. Przybrał groźny wyraz twarzy i Maigret spodziewając się najgorszego patrzył mu prosto w oczy.

W końcu wyciągnęła się do niego ręka oddając broń.

- Zostań z nim, Janvier... Nie lubię, kiedy kobieta wychodzi sama... Nie byłbym pewny, czy jeszcze ją spotkam.

- Muszę się przebrać...

- Nie będzie pani pierwszą kobietą przebierającą się w mojej obecności... Co pani nosiła na sobie, kiedy tańczyła pani w "Tabarin"?

Atmosfera była ciężka, w powietrzu wisiała groza. Maigret odprowadził Line do końca holu, potem wszedł za nią do pokoju pomalowanego na perłowo-szaro i żółto z meblami w stylu Ludwika XV. Łóżko było nie pościelone. Na małym stoliku stała butelka whisky i dwie do połowy napełnione szklanki. Uważał ją za zdolną do wszystkiego, mogła nawet schwycić butelkę i rozbić mu ją na głowie... Nalał jej dużą porcję alkoholu i postawił butelkę z dala od niej.

- Pan się nie napije?

- Nie. Proszę się szykować...

- Jak pan myśli, ile czasu nas nie będzie? A raczej mnie?

- To zależy.

- Od kogo?

- Od pani i od sędziego śledczego...

- Co pana skłoniło nagle do aresztowania nas, przecież wczoraj nie było o tym mowy?

- Przypuśćmy, że od wczoraj dokonaliśmy ważnych odkryć...

- Na pewno nie odnaleźliście broni, z której zabito mojego męża.

- Bardzo dobrze pani wie, że ta broń leży na dnie Sekwany, podobnie jak dywan poplamiony krwią.

- Do którego więzienia nas zawieziecie?

- Najpierw do aresztu w podziemiu Pałacu Sprawiedliwości.

- Czy to nie tam zamyka się prostytutki?

- Zdarza się.

- I ośmiela się pan...

Maigret wskazał łóżko.

- Nawet pani nie poczekała, aż to łóżko ostygnie...

- Okropny z pana facet.

- Na razie tak. Proszę się pospieszyć...

Zrobiła to specjalnie: w jednej chwili, jakby rzucając wyzwanie, rozebrała się do naga.

- Mam ochotę wziąć prysznic... Tam, gdzie idę, nie ma chyba pryszniców.

Miała ładne gibkie ciało tancerki, ale komisarz spojrzął na nie obojętnie.

- Daję pani pięć minut.

I stanął w progu łazienki, do której prowadziły drugie drzwi.

Minął prawie kwadrans, zanim była gotowa. Włożyła ten sam czarny kostium,



który nosiła w przeddzień, ten sam biały kapelusz. Wrzuciła do walizeczki trochę bielizny oraz przybory toaletowe.

- Idę z panem, bo nie mam innego wyjścia. Mam nadzieję, że drogo pan za to zapłaci...

Przeszli z powrotem do salonu. Ze zdziwionego spojrzenia Manuela widać było, że zastanawia się, dlaczego jego kochanka kazała im tak długo czekać. Czy on też wiedział, że ona jest zdolna do wszystkiego?

- Janvier, kajdanki...

- Chcecie mi założyć kajdanki? - spytał Manuel, który zbłądł i już podnosił pięść.

Był o wiele silniejszy od Janviera. Ale uporczywe spojrzenie Maigreta kazało mu opuścić pięść i kajdanki się zamknęły.

- Mam nadzieję, że jej tego nie założycie?

- Tylko wtedy, kiedy to będzie konieczne...

Pokojówka otworzyła im drzwi wyjściowe z dziwnym uśmiechem na ustach.

- Schodźcie...

Manuelowi kazał usiąść na tylnym siedzeniu, sam usiadł obok, Line zajęła przednie miejsce koło Janviera. Ani jedno, ani drugie nie próbowało uciekać; zresztą i tak by im się to nie udało.

- A mój brat?

- Pewnie już jest w Policji Kryminalnej. Chyba że były kłopoty z doprowadzeniem go.

- Wysłał pan swoich ludzi na ulicę du Caire?

- Tak.

- Ale przecież... Mój brat niczego nie zrobił... Nawet go nie widziałem tamtej nocy...

- Kłamstwo.

- Będzie pan musiał to udowodnić...

Samochód wjechał na dziedziniec i wszyscy czworo weszli po schodach.

- Do mojego gabinetu, Janvier...

Okno było cały czas otwarte. Wydawało się, że burza jest bardzo blisko, że na Montparnasse'ie już pada.

- Usiądźcie... Ty, Janvier, zobacz, czy Lucas i Lapointe są już z powrotem.

Inspektor wrócił po chwili.

- Jest obok pod dobrą strażą.

- Wprowadź go...

Jo był równie wściekły jak jego starszy brat.

- Złożę skargę...

- Właśnie. Powie to pan sędziemu śledczemu.

- Jak długo ma pan zamiar nas trzymać?

- To będzie zależało od sędziów przysięgłych. Jedno z was może tu zostać na dwadzieścia lat lub więcej... Pana w każdym razie czeka parę lat.

- Nic nie zrobiłem...

- Wiem, że pan nie strzelał, ale wiem też, że kiedy brat zadzwonił do pana w środku nocy, pomógł mu pan zanieść ciało Marcii do samochodu i przewieźć je na avenue Junot...

- Nieprawda.

- Janvier! Wprowadź tę osobę, która czeka.

- Jeśli o niego chodzi...

- Właśnie o niego... Wejdz, Justin, siadaj...

Janvier wciąż stał, tak jakby miał ich pilnować, a Lapointe usiadł przy końcu biurka, żeby stenografować przesłuchanie.

- To ma być świadek? - burknął Manuel jeszcze bardziej rozwścieczony. - Kupuje się go za sto franków i każe mu się mówić, co się chce...

Maigret udał, że nie słyszy, i odwrócił się do Line.

- Może zechciałaby mi pani powiedzieć, czy w nocy z poniedziałku na wtorek przebywała pani w mieszkaniu przy skwerze La Bruyere zajmowanym przez obecnego tu Manuela Mori?

- To nie pana sprawa.

- Czy mam przez to rozumieć, że postanowiła pani nie odpowiadać na żadne pytanie?

- To zależy od pytań...

Manuel spojrzał na nią marszcząc brwi.

- Przyznaje pani jednak, że jest pani kochanką tego mężczyzny?

- Mam takich kochanków, jakich mi się podoba, i o ile wiem, w kodeksie karnym nie ma jeszcze artykułu, który by tego zabraniał.

- Gdzie pani spała poprzedniej nocy?

- W domu.

- Z kim?

Ta sama odpowiedź.

- Wiedziała pani, że pani kochanek trzyma nabitą broń na nocnej szafce albo w szufladzie?

Żadnej odpowiedzi.

- Pozwolę sobie powtórzyć to pytanie, w pani własnym interesie, jest ono bardzo ważne. Zwłaszcza dla pani. Kiedy zadzwonił pani mąż, leżała pani nago w pościeli, Manuel narzucił szlafrok i poszedł otworzyć, ale nie wziął pistoletu... Pani mąż natomiast miał broń w ręku... Od razu skierował się do sypialni i zerwał z pani prześcieradło... Nie wiem, jak panią potraktował... Potem odwrócił się do Manuela... Manuel podszedł do łóżka i w chwilę potem miał już w ręku pistolet... Strzelił pierwszy... To jedna wersja... Zobaczymy, czy jest prawdziwa, podczas wizji lokalnej, która odbędzie się w najbliższym czasie... Istnieje inna hipoteza, równie prawdopodobna... Pani wiedziała, gdzie jest broń... Pani mąż chciał strzelić do pani kochanka, ale pani strzeliła pierwsza... Co pani na to?

- Powiem, że to czyste szaleństwo. Po pierwsze musiałabym tam być.

Następnie...

Nie słuchając jej Maigret odwrócił się do Manuela.

- A pan co na to powie?

Starszy Mori spochmurniał, w końcu potrząsnął głową.

- Nic nie powiem.

- Nie zaprzeczy pan tej teorii?

- Powtarzam, że nic nie powiem.

- To tak mnie wystawiasz do wiatru? No, mój drogi, ja ci zaraz pokażę!

- Nie zauważyłaś, że nic nie powiedziałem?

- Mogłeś zaprzeczyć, nie?

- Może będę mówił później, przed sędzią śledczym, w obecności mojego adwokata...

- A na razie to ja obrywam. Proszę posłuchać, panie komisarzu...

Podeszła rozjuszona do biurka Maigreta i zaczęła mówić gestykując. Nie była to już elegancka Line Marcia, ale rozwścieczona samica.

## Rozdział 7

- To prawda, byłam na skwerze La Bruyre, nie ma co zaprzeczać, dozorca nas widział, chociaż był pijany, a za butelkę koniaku Manuel nie na długo mógł go przekupić. Na pewno są też wszędzie moje odciski palców, ślady pudru czy kremu, bo ja wiem. Trwa to od trzech lat, chodziłam tam co najmniej dwa razy na tydzień. I ten łobuz, ten bezczelny karzeł, tam w kącie, pewnie wie wszystko. A Manuel wiedział, co robi, zostając moim kochankiem. Nie o mnie mu chodziło, tylko o spadek po moim mężu.

Przestała nad sobą panować, mówiła urywanymi zdaniami.

- Kiedy Maurice się nim zajął, był nędznym sutenerem i żył w biedzie...

Jestem pewna, że pan nie wie, ale to Maurice był głównym szefem...

Maigret palił fajkę krótkimi pociągnięciami, nie chciał przerywać tej powodzi słów. Line mówiła w przystępie wściekłości, a raczej strachu. Od czasu do czasu odwracała się do Manuela i patrzyła na niego z nienawiścią. A zaledwie kilka godzin temu była to para kochanków i zarazem współników. Teraz wzajemnie przerzucali się oskarżeniami.

- Janvier, zdejmij mu kajdanki.

- Nareszcie! Pomyślał pan o tym. Przypuszczam, że trudno by mi było stąd zwać...

Manuel stracił swoją pychę i poprzestał na szyderstwie. Pchła siedział bez ruchu na krześle, w kącie najbardziej odległym od braci Mori. Ciągłe miał wystraszoną minę i chociaż Manuel w jednej chwili stracił tupet, spoglądał na niego z przerażeniem. Tak długo się go bał, tak długo uważał go za nadc człowieka, że nie potrafił wyzwolić się z tego strachu.

- Wypiję to piwo, jak to się powiada - mówiła dalej Line. - Więc byliśmy w łóżku, ktoś zadzwonił...

- Nie spodziewała się pani?

Wahała się przez sekundę.

- Nie. Dlaczego miałabym się spodziewać, że mój mąż przyjdzie właśnie tej nocy?

- Nie wiedział o waszym związku, on, który był wtajemniczony we wszystko,

co się działo w dzielnicy Pigalle?...

- Dlaczego czekałby aż trzy lata? Jeżeli wiedział, to dobrze udawał, bo był zazdrosny do nieprzytomności...

- Czy ma pani wrażenie, że Manuel oczekiwał tej wizyty?

Tym razem milczenie trwało dłużej.

- Szczerze mówiąc, nie wiem... Wstał, włożył szlafrok, który wisiał na fotelu. Potem wyjął pistolet z szuflady nocnej szafki i wsunął go do kieszeni...

- Ona kłamie, komisarzu... Szlafrok jest z cienkiego jedwabiu. Broń byłaby widoczna przez tkaninę. Niech pan mnie posłucha... Powiedziałem, że będę mówił tylko w obecności mojego adwokata, i to się zgadza. Proszę tylko, żeby pan nie wierzył w to wszystko, co wygaduje ta kobieta, i żeby pan sprawdził... Ale co do jednego przynajmniej mogę panu od razu powiedzieć prawdę... To ona rzuciła mi się na szyję, kiedy zacząłem bywać u Maurice'a... Powtarzała mi, że to starzec, że jest skończony. Stary maniak, tak się o nim wyrażała.

- Nieprawda, to on...

Teraz z kolei zerwał się z miejsca Manuel.

- Proszę usiąść.

Dla postronnego obserwatora ta scena mogłaby być zabawna. Maigret siedział w fotelu naprzeciw swoich fajek tak nieruchomo jak figura woskowa w Muzeum Grvin. Patrzył to na jedno, to na drugie, rejestrując ich reakcje. Pchła ciągle dygotał w swoim kącie, jakby mu groziło niebezpieczeństwo. Młodszy z braci słuchał w milczeniu. Sprawa Marcii pozostawała chwilowo jakby na uboczu, odbywała się natomiast ostra, gwałtowna sprzeczka dwojga kochanków.

- "Kiedy tylko będziesz chciał, dostaniesz po nim spadek", tak mówiła. Ona jest ambitna, chciwa... Zaczęła na samym dnie, zaczepiała przechodniów na placu Pigalle, zanim poszła pracować do "Tabarin".

Było to wręcz odrażające i biedny Lapointe, robiąc notatki, próbował ukryć oburzenie.

- Czy już wtedy myślała o zabiciu męża? - zapytał Maigret spokojnym głosem, jakby to było najnormalniejsze w świecie pytanie.

- W każdym razie przyszło jej to do głowy w ciągu pierwszych miesięcy.

- Odwiódł ją pan od tego?

- To nieprawda, panie komisarzu. To on został moim kochankiem, żeby pewnego dnia włożyć pantofle mojego męża.

- Jeszcze raz pytam, mąż niczego się nie domyślał?  
- Miał do mnie zaufanie. Zresztą nigdy przedtem go nie zdradzałam.  
- Kłamie... Spała nawet z Freddym, barmanem... On może zaświadczyć.  
Znowu odwróciła się do niego z nienawiścią, jakby miała mu napluć w twarz.  
- Łatwiej będzie rozmawiać, jeśli pani z powrotem usiądzie.  
- Widziałam, jak pan oglądał meble i obrazy na ulicy Ballu. Jestem przekonana, że zrozumiał pan i że przeprowadzi pan ekspertyzę. No i prawda wyjdzie na jaw. Ale to nie był pomysł tego nędznika.

Nędznikiem stał się Manuel!

- Gang zamkowy, jak go nazywano, to był pomysł mojego męża i to on go zorganizował. Sześciu czy siedmiu zaufanych ludzi, rozrzuconych po Francji, zawiadamiano o terminie operacji i wtedy przyjeżdżali na wyznaczone spotkanie. Dla niepoznaki bracia Mori byli na miejscu ze swoją ciężarówką i skrzyniami...

- Co się działo z meblami i przedmiotami wartościowymi, kiedy Maurice i Manuel już się obłowili?

- Wracaly na prowincję do pokątnych antykwariuszy... Może śmiesz powiedzieć, że to nieprawda?

- To jedyna prawdziwa rzecz, komisarzu, jaką powiedziała, od chwili gdy tu jesteśmy... Nie da się temu zaprzeczyć, skoro meble będą poddane ekspertyzie...

- Ale to pan kierował tymi operacjami.

- Na miejscu tak... Ale polecenia wydawał Maurice... Sam nie ryzykował... W swojej restauracji odgrywał niewiniątko i niektórzy urzędnicy sądowi ściskali mu dłoń.

- To był dobry interes?

- Złoty interes...

- Który próbował pan przechwycić...

- To był jej pomysł.

- Jest pan pewny?

- To moja odpowiedź na jej zeznania. Wyciągnie pan z tego taki wniosek, jaki pan będzie chciał. Żałuję, że wrzuciłem pistolet do Sekwany, bo odkryłby pan na nim jej odciski palców, a nie moje...

- Nie widzi pan, że on kłamie z zimną krwią? W chwili gdy najmniej się spodziewano, Maigret zwrócił się do Pchły, które nagle zbladł.

- O której godzinie zatelefonowałaś?

## Rozdział 8

- Tuż przed dwunastą - wybełkotał.
- Co mu powiedziałeś?
- Prawdę.
- Jaką prawdę?
- Że jego żona i Manuel są razem w mieszkaniu.
- Dlaczego przyszło ci to do głowy?

Justin odwrócił się z miną niemal obrażoną, jak uczeń przyłapany na psocie.

- Odpowiedz.
- Nie wiem... Chciałem się zemścić.
- Za co?
- Za wszystko... Dwa lata temu próbowałem przystąpić do ich bandy...

Wiedziałem, jak pracują... Wiem prawie o wszystkim, co dzieje się w dzielnicy Pigalle i na Wzgórzu. Poprosiłem Manuela Mori, żeby mnie zatrudnił, a on mi odpowiedział, że nie potrzebuje takiego kurdupla jak ja.

Teraz z kolei Manuel oświadczył:

- On kłamie...

Maigret palił fajkę za fajką i powietrze było niebieskie od dymu.

- Wy też możecie palić - powiedział.
- A ja? - spytała Line.
- Pani także.
- Nie mam papierosów i nie chcę brać od tego gada...

Maigret podał jej paczkę, którą wyjął z szuflady, ale nie posunął się tak daleko, by podać jej również ogień. Ręce jej tak drżały, że musiała zużyć aż trzy zapalki, zanim wreszcie udało jej się zapalić.

- A jaka jest pana prawda, Manuel?
- Nigdy mi nic nie proponował, spotykałem go tylko przelotnie na ulicach

Montmartre'u. Wiadomo było, że to kapuś.

- Nieprawda...
- Nie wszyscy naraz. Mów, Justin.
- Zatelefonowałem, żeby się zemścić za pogardę tego człowieka...
- Skąd telefonowałeś?
- Z najbliższego automatu. Widać stamtąd światła restauracji.
- Spodziewałeś się, że wywołasz dramat?
- Niezupełnie...
- Ale taka perspektywa nie była ci niemiła?
- Nie...
- Gdyby chodziło o kogo innego, też byś to zrobił?

To pytanie zbiło go nieco z pantafiku. Musiał się zastanowić.

- Nie wiem - wyznał.
- Czy nie mściłeś się za swój wzrost i swoją twarz, za którą ludzie się oglądają?

- Nie wiem - powtórzył.

- Zastanów się teraz dobrze nad pytaniem, które ci zadam. Kłamałeś przed chwilą, bo bałeś się Manuela...

Karla znowu ogarnął strach, tak jakby nawet tutaj bracia Mori byli wszechpotężni.

- Powiedziałem swoją prawdę...

- Nie. Prawda jest taka, że zapłacono ci, żebyś zatelefonował o określonej godzinie...

- Kto miałby mi zapłacić?

- Właśnie Manuel.

- Protestuję - wykrzyknął Manuel. - Niby dlaczego miałbym się dać złapać na gorącym uczynku mężowi mojej kochanki?

I oto Justin zaczął w końcu mówić.

- Dał mi tysiąc franków... Zagroził, że mnie sprzątnie, jeśli pisnę słowo. I dodał: "Wszędzie mam swoich ludzi, którzy zrobią, co trzeba, jeśli ja nie będę miał możliwości". Żał mi było pana Maurice'a, bo go lubiłem.

- A jednak posłuchałeś...

- Nie miałem ochoty dostać kulą w łeb...

- Nie pomyślałeś, że pan Maurice mógłby strzelić pierwszy?



- Skoro ten człowiek - wskazał Manuela - zdecydował, że to się odbędzie w ten sposób, musiało się tak odbyć... To istny diabeł...

Maigret nie mógł powstrzymać uśmiechu, a Line podjęła swoją pierwszoplanową rolę.

- Widzi pan, komisarzu, że nie kłamałam... Nie wiedziałam o tym telefonie... Nie spodziewałam się więc męża, a co za tym idzie, nie miałam broni.

- Kłamstwo! Łże jak z nut... Ten telefon to był jej pomysł! Słyszę jeszcze jej głos: "Jeśli go zabijesz albo każesz go gdzieś zabić, to ciebie oskarżą, bo policja szybko się dowie o naszym związku... Przypuśćmy natomiast, że on złapie nas na gorącym uczynku, jak się to mówi... Znam go... Nie przyjdzie bez broni... Będzie groził tobie albo mnie... W obu przypadkach będziemy działać w obronie własnej".

- Nie wynika z tego, że to nie pani strzelała...

Rozpłakała się z wściekłości.

- Co mam jeszcze zrobić, żeby mi pan uwierzył?

- To nie ja mam pani uwierzyć. Jeszcze raz powtarzam, że zdecyduje sąd przysięgłych...

- Nigdy w życiu nie miałam w ręce broni...

- Nieprawda - przerwał jej Manuel. - W Bandol widziałem, jak strzela do mew.

- Z pistoletu?

- Z pistoletu męża.

- I trafiła?

- Trafiła kilka przy mnie.

- Justin...

- Tak, panie komisarzu...

- Kiedy i gdzie Manuel polecił ci, żebyś zatelefonował?

- Tamtej nocy, na ulicy Pigalle... Odprowadziłem właśnie Blanche do "Canari". Chodzę tam codziennie o tej samej godzinie...

- Powiedział ci, że masz zadzwonić koło północy?

- Tak...

- Widzi pan! - krzyknęła Line. - Ja nawet nie wiedziałam, gdzie można znaleźć Pchłę, a Manuel nie odważył się powiedzieć mi o tym telefonie.

Maigretowi chciało się pić. Dużo by dał, żeby poprosić o przyniesienie piwa, ale trzeba by było zamówić dla wszystkich.

Udało mu się osiągnąć ważny rezultat, najważniejszy. Kochankowie, występując przeciw sobie, nie zaprzeczali już, że pan Maurice został zamordowany w mieszkaniu na skwerze La Bruyere. Nie przywiązywał większej wagi do ustalenia winy każdego z nich. Liczył się nie tylko strzał z pistoletu, ale to, co działo się przedtem, to znaczy przygotowania do tego strzału. Odwrócił się do Manuela, który palił papierosa z wyzywającym wyrazem twarzy:

- Dlaczego po rozegraniu tego dramatu namiętności zatelefonował pan do brata, żeby razem z nim zawieźć ciało na avenue Junot?

- To właśnie dowodzi, że nie ja strzeliłem. Gdybym strzelił, przyznałbym się, bo byłoby to działanie w obronie własnej... Ale ponieważ strzeliła Line, byłoby to mniej wiarygodne. Powiedziałem jej, żeby wróciła do domu, i obiecałem, że zrobię, co trzeba...

Maigret spoglądał raz na jedno, raz na drugie. Oboje byli tak samo zdolni do kłamstwa. Mori to cynik i nie ma żadnych hamulców. Ale czy Line jest bardziej szczerą niż on? Z kąta, gdzie siedział Justin, odezwał się skrzeczący głos.

- To on!

- Widziałeś go?

- Słyszałem.

- Gdzie byłeś?

- Poszedłem za panem Maurice'em na trzecie piętro. Schowałem się na podeście. W pewnej chwili usłyszałem głos kobiety, która krzyczała: "No, strzelaj! Nie widzisz, że mnie zabije..." Nie dokończyła jeszcze ostatniego słowa, jak usłyszałem detonację... Zbiegłem szybko na dół.

Zapanowała cisza. Na ogromnych ustach Justina pojawił się dziwny uśmiech.

Pierwszy przemówił Manuel:

- Kłamie. Maurice nie miał zamiaru strzelać do niej...

- Zmyśla - powiedziała Line. - Żadne z nas nie wypowiedziało ani słowa.

Maigret wstał, ciężkim spojrzeniem ogarnął kolejno wszystkich obecnych.

- Nikt nie ma nic więcej do powiedzenia?

- Nie! - mruknął Manuel.

- Powtarzam, że on kłamie - rzekła z naciskiem Line.

- Janvier! Załóż wszystkim trojgu kajdanki...

- Ale ja z tym nie mam nic wspólnego - zaprotestował młodszy Mori, Jo.

- Nie pomógł pan bratu przenieść trupa?

- To nie jest zbrodnia.
- To się nazywa współudział w zbrodni... Załóż im kajdanki...
- Mnie też? - pisnęła Line, bliska kryzysu nerwowego.
- Pani też.

I Maigret zwrócił się do Lapointe'a:

- Pomóż Janvierowi, przewieźcie ich do aresztu.

Był zmęczony. Miał ochotę pomyśleć o czymś innym. Włożył kapelusz i zszedł głównymi schodami. Zaczęło padać; ogromne krople tworzyły czarne kręgi na chodniku. Doszedł do placu Dauphine, gdzie dwaj jego koledzy popijali anyżówkę. Przez chwilę korciło go, żeby zamówić to samo, ale zrezygnował.

- Największą szklanekę piwa, jaką pan ma - powiedział właścicielowi.

## Rozdział 9

Ławka z lewej strony drzwi sędziego Bouteille przez trzy miesiące była niemal bez przerwy zajęta. Należało w różnych małych miasteczkach odnaleźć współników braci Mori - oraz pana Maurice'a - specjalistów od włamań do zamków i bogatych rezydencji. Pracowali również rzeczoznawcy i w rezultacie ustalono pochodzenie mebli i obrazów z ulicy Ballu i skweru La Bruyere. U pokątnych antykwariuszy rozsianych po całym kraju odnaleziono także przedmioty zrabowane przez gang.

Maigret udał się na Montmartre, żeby osobiście pogratulować skromnemu inspektorowi Louis.

- Wykonywałem tylko swój zawód - wymamrotał zaczerwieniony.
- Kiedy serce to panu podyktuje, wejdzie pan w skład mojej brygady...

Wdowiec nie mógł uwierzyć własnym uszom. Może też był wewnętrznie rozdarty między pragnieniem przynależności do Centrali a przywiązaniem do dzielnicy Pigalle.

Proces odbył się w listopadzie, nie obejmował sprawy zamków, która miała być rozpatrzona później. Na sali sądowej Line i Manuel nie przestawali oskarżać się wzajem o morderstwo.

Telefon do ofiary dowodził działania z premedytacją, co pociągało za sobą najwyższy wymiar kary.

Sędziemu Bouteille nie udało się, mimo cierpliwości, ustalić stopnia winy obojga kochanków, którzy stali się zajadłymi wrogami. Kiedy zeznawała Line, z ławy oskarżonych dochodził głos Manuela:

- Ona kłamie!
- Proszę milczeć.
- Mówię wam, że ona kłamie.
- A ja nakazuję panu zamilknąć.

Scena powtarzała się, kiedy przesłuchiowano Manuela. Sąd przysięgłych nie rozwiązał dylematu. Manuel i Line dostali po dwadzieścia lat, Jo - pięć.

I wszyscy troje opuszczali salę sądową rzucając sobie nienawistne spojrzenia. Pchła nadal telefonował do inspektora Louis.

Epalinges, 11 czerwca 1971